



2 | 2023

GARNIZON

MAGAZYN ORYGINALNY



EGZEMPLARZ BEZPŁATNY



ZAPARKUJ W GARNIZONIE!

Sprawdź, gdzie i na jakich zasadach możesz komfortowo zaparkować swoje auto za każdym razem, gdy przyjeżdżasz do Garnizonu.

OPŁATY JEDNORAZOWE

PARKINGI PODZIEMNE -1

7 DNI W TYGODNIU, 24H/DOBĘ

pierwsza
1h = 0 zł
z biletem

każde kolejne
30 min = 1 zł

- A** – Norwida 2-4, Słonimskiego 1-9*
Wjazd: P11, P12
- B** – Białoszewskiego 8
Wjazd: P9
- C** – Hemara 5*
Wjazd: P7
- D** – Chrzanowskiego 11, Szymanowskiego 20
Wjazd: P1, P6
- E** – Norwida 1*
Wjazd: P8
- F** – Stachury 2
Wjazd: P3

PARKINGI NAZIEMNE

7 DNI W TYGODNIU, 8.00-20.00

pierwsze
30 min = 1 zł

drugie
30 min = 1 zł

każde kolejne
30 min = 2 zł

- Grunwaldzka 184 ****
(dziedziniec - zabytki)
- Grunwaldzka 190 ****
(przed Centrum Nieruchomości Hossa)
- Białoszewskiego*****
(przy Klubie Badmintona)
- Linarium*****
(Garnizon Kultury)
- Pozostałe parkometry*****

postój
do **30 min**
z biletem
= 0 zł

abonament
100 zł/m-c
zakup w parkometrze

* - strefa "Garnizon hale podziemne - 1" w aplikacjach mobilnych
** - strefa "Garnizon Zabytki" w aplikacjach mobilnych
*** - strefa "Garnizon" w aplikacjach mobilnych

ABONAMENTY

1 m-c **6 m-cy** **1 rok**

230 zł
brutto

1200 zł
brutto

2214 zł
brutto

Jak wykupić abonament

1.



WEJDŹ NA
GARNIZON.PL/PARKOWANIE

2.



WYBIERZ INTERESUJĄCĄ
CIĘ OPCJĘ

3.



ZAPŁAĆ ONLINE

4.



ODBIERZ KARTĘ PARKINGOWĄ
W HOSSA.BIZ, UL. NORWIDA 4

Jak opłacić jednorazowy postój:



W PARKOMETRZE



PRZEZ APLIKACJĘ
NA SMARTFONIE

Lokalizację parkingów i parkometrów znajdziesz na mapie > str. 43

SPIS TREŚCI

POSTACI	4
Mikołaj Trzaska: To dobry czas na rewolucję	
POZNAJMY SIĘ	8
Swarovski: Kryształowi z YOKO	
SZTUKA W GARNIZONIE	13
Tomasz Kocłęga: Stone/ Kamień	
GWIAZDY W GARNIZONIE	14
Richard Bona: Co na ustach, to pod palcami	
Z BLISKA	17
Eliksir: Magiczne swatanie	
DLA CIAŁA I DUCHA	21
Amber Hammam: Bałtycko-turecki dobrostan	
OBLICZA WRZESZCZA	23
Kilkoro znanych Wrzeszczan	
LITERACKI GARNIZON	27
Tymoteusz Skiba: „Kryształ”	
MIASTO DOBRZE NASTROJONE	34
Wywiad z Prof. Michałem Jaśkiewiczem	
HYDE PARK	38
Felieton Włodzimierza Machnikowskiego	
CO NOWEGO W GARNIZONIE?	40
Przegląd nowych lokali usługowych i wydarzeń w Garnizonie	
Spis lokali usługowych Garnizonu z mapką	42-43

DROGI CZYTELNIKU!

Dziesięć numerów. To już nie w kij dmuchał! Początkowo, z okazji jubileuszowego wydania naszego magazynu, planowaliśmy rozbudowany i nasączony niebanalnymi refleksjami wstęp, jednak treści w niniejszym numerze są na tyle ciekawe, że uznaliśmy, iż nie ma sensu przeciągać całej sprawy.

Miłej lektury i dużo słońca na wiosnę!

Zespół redakcyjny

Z HUMOREM



HOSSA

Grupa Inwestycyjna Hossa S.A.
ul. Władysława IV 43
81-395 Gdynia

GARNIZON
KULTURY

Redaktor naczelny: PAWEŁ DURKIEWICZ | Wydawca: JUSTYNA GLAZAR
Ilustracja i projekt okładki: MAGDALENA PESZKOWSKA-BEDNARCZYK | Skład: BERNARD KIEDROWICZ
Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania przysłanych tekstów.

redakcja@garnizon.pl | www.garnizon.pl | Facebook.com/GarnizonWrzeszcz | instagram.com/garnizongdansk

MIKOŁAJ TRZASKA: TO DOBRY CZAS NA REWOLUCJĘ

SERCEM WRZESZCZANIN, A TALENTEM ŚWIATA OBYWATEL. MIKOŁAJ TRZASKA, WIRTUOZ SAKSO-FONU, IKONA JAZZOWEJ AWANGARDY, TO Z PEWNOŚCIĄ JEDEN Z NAJWYBITNIEJSZYCH ARTYSTÓW, JACY WYWODZĄ SIĘ Z NASZEJ DZIELNICY. O TYM, ŻE JEST Z NIĄ ZWIĄZANY EMOCJONALNIE, MOŻE ŚWIADCZYĆ CHOCIAŻBY TYTUŁ WYDANEJ KILKA LAT TEMU AUTOBIOGRAFII, CZYLI PO PROSTU... „WRZESZCZ!”. SWOJĄ MUZYCZNĄ WYOBRAŹNIĘ I WARSZTAT UZEWNĘTRZNIĄŁ W WIELU WYRAZISTYCH FORMACJACH I PROJEKTACH – CHOĆBY W KULTOWYCH ZESPOŁACH MIŁOŚĆ I ŁOSKOT, CZY W ŚCIEŻKACH DŹWIĘKOWYCH DO FILMÓW WOJCIECHA SMARZOWSKIEGO. ZOSTAŁ TEŻ TYTUŁOWYM BOHATEREM OPOWIADANIA, JAKIE DLA NASZEGO MAGAZYNU (NUMER 4/2022) NAPISAŁ W ZESZŁYM ROKU RYSZARD „TYMON” TYMAŃSKI.

Zdjęcia: Paulina Hinz

PAWEŁ DURKIEWICZ: Jak zareagował pan na opowiadanie Tymona w naszym magazynie?

MIKOŁAJ TRZASKA: Tymon zadzwonił do mnie, jeszcze gdy pisał to opowiadanie, by zapytać o parę szczegółów. Kilka tygodni później zatelefonował z kolei Paweł Krajka, architekt i mój kolega, który często spaceruje tu, po Garnizonie z psami. Powiedział: „Mam to dla ciebie”.

Przeczytałem i się wzruszyłem, bo opowiadanie Tymona sprawiło, że wróciły wspomnienia z czasów studiów, kiedy odwiedzało mnie sporo ciekawych ludzi, którzy zawsze mieli coś ciekawego do powiedzenia. Powróciły miejsca, z którymi jestem mocno związany emocjonalnie. Dorastałem na Osiedlu Młodych, w miejscu, które dziś nazywa się VII Dwór. Kiedyś to był po prostu Wrzeszcz, podobnie jak dzisiejsza Strzyża. Dziś mam tam pracownię, a mieszkam przy ul. Batorego. Przemierzając się między tymi miejscami często przechodzę przez

Garnizon. Czasem idę przez las, a czasem przez Chrzanowskiego, mijając okolice Pawła Huellego, który w swoich powieściach jako pierwszy zaczął budować magiczną tożsamość tej części Gdańska. Stworzył ważną dla mnie postać Weisera Dawidka, który nie był ani Polakiem, ani Niemcem, a przez swoją żydowską tożsamość buduje pomost między tymi dwoma światami. Paweł pisał o miejscach, w których bywałem nieskończoną liczbę razy. Choćby okolice tego mojego Osiedla Młodych – jak gdyby puste, a jednak przepełnione różnego rodzaju ruinami, pozostałościami i artefaktami świadczącymi o niesamowitych dziejach. Materiał do pracy dla historyków, archeologów, ale też pisarzy, artystów i wszystkich ludzi, którzy są wrażliwi i mają wyobraźnię. Pan tego nie pamięta, ale w okresie komuny nie mówiono nam, że jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej Gdańsk nie był polski. Wiedzieliśmy, że nasi rodzice przyjechali tu po wojnie, opowiadali nam swoje historie skądś: z Kresów, z południa. Towarzyszyło nam więc dużo zagadek. Dopiero lata 90. zaczęły przywracać pamięć o dawnych czasach.

PD: Widział pan, jak Gdańsk i Wrzeszcz zmieniają się przez dziesięciolecia. To wciąż to samo miejsce, co wtedy, gdy poznawał pan na imprezie Tymona?

MT: To trudne pytanie. Z natury dość trudno adaptuję się do zmian, które wokół mnie zachodzą. Może to kwestia wieku. Ciężko mi nawet zaakceptować zmianę układu półek w sklepie, w którym robię zakupy. Zmieniło się wiele, oczywiście – np. powstał Garnizon, który ja pamiętam jako faktyczne koszary. Miło mi tu zajrzeć, wypić kawę, spotkać się ze znajomymi albo poudawać, że się pracuje przy komputerze. Ale nie mam osobistych historii związanych z tym miejscem, które by na mnie jakoś wpłynęły czy wywoływały cikliwość. W nikim się tu nie zakochałem, nigdy się tu nie upiłem, ani nie rzygałem. W gruncie rzeczy coraz mniej jest takich miejsc. We Wrzeszczu najbardziej lubię takie zakątki, w których kiedyś, dawno temu zapanał pewien bałagan, rozpi**dol, i który

potem ktoś zapomniał posprzątać – czy to z okresu niemieckiego czy PRL. Idąc ulicą, lubię czasem poczuć zapach stęchlizny dobiegający z niektórych klatek.

Z mojego VII Dworu chodzę często na spacer Aleją Brzozową na Niedźwiednik. Po drodze mijam dużo rzeczy, wywołujących u mnie nostalgię. Jest tam takie granitowe, pęknięte młyńskie koło i bagno z ledwie dostrzegalnymi pozostałościami jakiegoś gospodarstwa. No a w Samborowie poniemiecka skocznia, na której zafundowałem sobie skruszony bark. Pomyślałem kiedyś jadąc na nartach, że fajnie będzie sobie skoczyć, ale gdy znalazłem się na progu, przestraszyłem się i położyłem. „Ja pie**olę, lecę...”. Tu coś zламаłem, tam się porozrabiało z kolegami, gdzie indziej coś się wykopało z ziemi.

PD: Jak dowiadujemy się z biografii, bywa pan też często we wrzeszczańskiejskiej synagodze.

WE WRZESZCZU NAJBARDZIEJ LUBIĘ TAKIE STARE ZAKĄTKI, W KTÓRYCH KIEDYŚ ZAPANOWAŁ PEWIEN BAŁAGAN, ROZPIDOL, I KTÓRY POTEM KTOŚ ZAPOMNIAŁ POSPRZĄTAĆ.**





MT: Jestem członkiem gminy żydowskiej od wielu lat. Nie jestem religijny, ale to dla mnie bardzo ważna sfera. Synagoga wrzeszczańska ma dość ciekawą historię. Została zbudowana w następstwie fali emigracji, z Galicji, Wołynia, ze Wschodu. Była to biedota, głównie ortodoksyjni Żydzi, Litwacy, ale też Chasydzi. Dlatego też początkowo rządziła w niej tradycja, był babiniec itp. Rabini przyjeżdżali jednak głównie z Niemiec, więc z czasem świątynia w coraz większym stopniu przypominała kościół protestancki. Dziś spełnia właśnie taką rolę - miejsca spotkań społeczności, gdzie przychodzi się spotkać, pogadać, napić kawy lub herbaty, jest nawet masażysta. Rozmawiamy organizujemy imprezy, obchodzimy święta. Wciąż dociera do nas dużo fajnych żydowskich rodzin, ostatnio choćby z Charkowa. Fascynujące jest to, jak poznajemy swoje historie, które są bardzo różne, bo pochodzimy często z zupełnie różnych światów. Przychodzą do nas zresztą nie tylko Żydzi. Każdy, kto ma w sobie ciekawość do ludzi, jest u nas mile widziany.

PD: We „Wrzeszczu!” powiedział pan też tak: „Gdańsk zawsze był specyficznym miejscem. Nie tylko dla nas, ale też dla wcześniejszego rockandrollowego pokolenia. W Sopocie działał klub Non Stop, tam się zaczęli Niebiesko-Czarni, tam grały Czerwone Gitary. (...) To miejsce ma w sobie coś – można by je nazwać polskim Seattle. Tutaj też klimat jest ch**owy, często pada, jest szaro i wietrznie, ale być może dzięki

temu cały syf jest wywiewany i depresja nie jest tak dokuczliwa”. Patrząc na muzykę – efekt wiatru od morza dalej działa?

MT: Przez wiele lat tak było, zwłaszcza w muzyce. Scena trójmiejska zawsze dawała powiew świeżości całej Polsce. Przyjeżdżały tu zresztą hurmą zespoły z Warszawy, żeby złapać tu trochę tego klimatu. Brygada Kryzys, Brylewski, Lipiński... Ale też wcześniej, lata 60., festiwale jazzowe, Komeda, Tyrmand. Potem czasy alternatywy. Niestety nie były to czasy, w których można było ot, tak wynająć studio i nagrać płytę, bo było to cholernie drogie. Sporo dobrej muzyki więc przepadło, choć zawsze działa się coś ciekawego.

A teraz... Nie chcę narzekać, ale w muzyce ewidentnie jest teraz dobry czas na rewolucję. Żywy, dobry słuch na rzeczywistość przejęła teraz literatura. Pisarze obserwują to, co się dzieje, i piszą w sposób odważny.

Także w filmie, który z definicji jest mało dostępnym środkiem wyrazu, bo wymaga po prostu zebrania dużej kasy, jest ten ferment. Nawet teatr próbuje się z czymś przebić. A muzyka trochę usnęła. Przydałoby się tu trochę buntu. Ale może jest to związane z trudami utrzymania się. Może muzycy wolą trzymać się formy, która mruga okiem do publiczności i zapewnia większy odzew komercyjny. W zasadzie nie ma w tym nic dziwnego – czasy są piekielnie trudne, zwłaszcza dla młodych. Może, żeby przelała się ta czara, musi wydarzyć się coś jeszcze? Może sytuacja powinna być jeszcze bardziej skrajna? Choć moim zdaniem sprawy zaszły już dawno...

PD: Podgląda pan, w którą stronę idą pana następcy na trójmiejskiej scenie alternatywnej?

MT: Dostrzegam wielu zdolnych muzyków, warsztatowo i technicznie czasem może wielokrotnie lepszych ode mnie. Podziwiam ich. Kiedyś sam byłem pod skrzydłami starszych muzyków, potem zacząłem pracować głównie ze swoimi rówieśnikami. Teraz, choć moje serce muzycznie i zawodowo jest raczej w Warszawie, to tu w Gdańsku, staram się przekazywać wiedzę i doświadczenie młodszemu. Są świetni, grają znakomicie, nic dodać, nic ująć. A przy tym bardzo grzeczni, dobrze wychowani, kochani.

PD: Za grzeczni?

MT: Może? Nie chcę, żeby to brzmiało, jakbym krytykował. Doskonale ich rozumiem i wiem, czemu może nie podejmują pewnych tematów. Świat zmierza w przerażającym, także dla mnie, kierunku. Sytuacja cały czas jest niezwykle dynamiczna. Moja obecna twórczość to komentarz do tego, co widzę. To wręcz reportaż.

Czasy, w których ja muzycznie dorastałem, były niesłychanie atrakcyjne. Wtedy każdy kolejny dzień był lepszy. Po prostu było więcej wolno! Do tego życie było dużo

łatwiejsze. Dziś się to pewnie w głowie by nie mieściło, ale w tamtych czasach miesiąc pracy gdzieś na saksach wystarczał potem na rok życia w kraju. Był czas, żeby się powłóczyć, pograć i niczego nie musieć. Pewnie stąd w muzyce z tych czasów tyle słońca i tyle tego specyficznego buntu. Wychodziliśmy wtedy z nory na światłość. Towarzyszyło temu sporo takiego starego, postkomunistycznego rozpie**olu, te dziwne kioski, sprowadzane z zachodu fajki w miękkich opakowaniach, puszki coca-coli z RFN-u. Każdy śmieć był skarbem. Byliśmy wolni od wyborów – braliśmy po prostu wszystko to, co leżało na ziemi... Mieliśmy łatwiej, sto razy łatwiej. Mogliśmy naprawdę myśleć o sztuce. Dlatego nie jestem nigdy zły na młodzież.

CZASY, W KTÓRYCH DORASTAŁEM JAKO MUZYK, BYŁY DUŻO ŁATWIEJSZE. DLATEGO ROZUMIEM DZISIEJSZĄ MŁODZIEŻ I ICH NIE KRYTYKUJĘ.

PD: Świat filmu poznał pan już w innych czasach.

MT: Muzyka i film to dwa zupełnie odrębne, nieporównywalne światy. Aż niebezpiecznie jest pomyśleć, jak wielkim światem jest muzyka. Można zanurzyć się w nim bezgranicznie, jak w jakiejś nieskończonej grze komputerowej. Z kolei w filmie niezwykle atrakcyjna jest ta wielowymiarowość: jest tu obraz, i literatura, i muzyka i jeszcze mnóstwo rzeczy, o których nie ma się pojęcia, patrząc z zewnątrz. Kapitalne jest to, że na planie filmowym wszyscy są od siebie zależni. Każdy robi, co może, by ułatwić drugiemu pracę. Dźwiękowcy, oświetleniowcy, makijażyści, ludzie od światła, cateringu, tojtojów. A to wszystko czasami w kilku miejscach. To wszystko ktoś musi poskładać w głowie i np. Smarzol [Wojciech Smarzowski – red.] to potrafi. W tej chwili robię muzykę do nowego filmu Pawła Maślony „Kos”, o Tadeuszu Kościuszcze. Będzie to fajna rzecz, obraz historyczny, ale bardzo nietypowy. Pobudką do tego filmu była, jak sądzę, „Ludowa historia Polski”. Kościuszek przyjeżdża do Polski z zaufanym czarnoskórym oficerem, który obserwuje kraj i w pewnym momencie nie dowierzając mówi: „Hej, Kos, jak to możliwe – biali niewolnicy? Czy plantatorzy – czyli nasza szlachta – mogą walczyć ramię w ramię z chłopstwem przeciw jednemu wrogowi? To przecież nie może działać!”. Oficera gra Jason Mitchell, świetny aktor, który często gra w filmach poświęconych tożsamości Afroamerykanów. Kościuszkę gra Jacek Braciak, z kolei „Więcol” [Robert Więckiewicz – red.] gra carskiego oficera. Obu dobrze znam, jesteśmy niejako ludźmi Smarzowskiego, więc widzujemy się na różnych planach. Pierwszy raz robiliśmy razem film historyczny, więc mieliśmy niezły ubaw. Ale nie zawsze tak jest, bo są i filmy cholernie ciężkie, gdzie praca na planie to wręcz traumatyczne przeżycie. I po „Wołaniu” i po nowszym „Weselu” człowiek musiał zdrapywać się ze ściany. Dotyczy to całej ekipy, ale aktorzy dostają szczególny wpie**ol. Zwłaszcza, że muszą moczyć tyłki w błocie, albo stać godzinami na zimnie. Do tego nie wystarczy tylko wyuczyć się i powiedzieć swój tekst, trzeba być tym tekstem. Cholernie ciężki zawód.

SWAROVSKI: KRYSZTAŁOWI Z YOKO

foto. materiały prasowe Swarovski GBS

MIEĆ ZA SĄSIADA SŁYNNEGO SWAROVSKIEGO – PIĘKNA SPRAWA, NIEPRAWDAŻ? ŚWIATOWY POTENTAT W DZIEDZINIE BIŻUTERII (I NIE TYLKO) JEST Z NAMI W GARNIZONIE JUŻ 6 LAT. W BIUROWCU YOKO PRZY UL. NORWIDA PRZEPROWADZA NA CO DZIEŃ KLUCZOWE PROCESY DLA GLOBALNEGO FUNKCJONOWANIA FIRMY. SAMO PRZESTRONNE BIURO KRYJE W SOBIE WIELE POŁYSKUJĄCYCH SEKRETÓW.

Gdyby zapytać losowo wskazanego mieszkańca Ziemi o pierwsze skojarzenie z marką Swarovski, w odpowiedzi zapewne padłoby słowo „kryształy”. I rzeczywiście, domena tej firmy z austriackimi korzeniami to produkty kojarzone przede wszystkim z przemysłem jubilerskim i szeroko pojmowanym światem mody, ale również z zupełnie innymi dziedzinami. Słynne kryształy znajdują zastosowanie również w optyce, motoryzacji, a nawet inżynierii drogowej.

GARNIZON - PRZEMYSŁANY WYBÓR

Wiosną 2017 r. w nowo otwartym wówczas budynku Yoko firma Swarovski otworzyła nowe globalne centrum usług wspólnych (GBS - Global Business Services Hub & Spokes). To jedno z zaledwie trzech takich miejsc na świecie, dwa pozostałe znajdują się w innych zakątkach kuli ziemskiej – w Malezji i Kostaryce.

Biuro w Gdańsku skupia ekspertów w obszarach księgowości, finansów, HR, IT oraz Customer & Client Service. Obsługują oni wszystkie

lokalizację firmy, sieć salonów sprzedaży własnej oraz partnerskiej, a także klientów B2B.

To, co wyróżnia Swarovski GBS od innych tego typu firm, to fakt, że zespoły – na przykład Customer Service – pracują na co dzień z korporacyjnymi klientami, do których zaliczają się słynne domy mody i światowe marki, takie jak Adidas, BMW, Golden Goose czy Rosenthal. Kryształowy Swarovskiego są wszakże znakiem jakości każdego designu – obojętnie czy mówimy o kreacji wieczorowej na oskarową galę, butach koszykarskiej gwiazdy NBA czy pięknych tiarach na głowach debiutantek podczas tegorocznego balu w Operze Wiedeńskiej.

Jak doszło do tego, że kryształowy gigant zadomowił się akurat w Garnizonie? W tak wielkich firmach nic nie dzieje się przypadkowo. Kierownictwo koncernu brało pod uwagę szereg innych miast w regionie Europy Środkowej, po gruntownej analizie wybór padł jednak na Gdańsk, ze względu na dostęp do wykwalifikowanych kadr, wysoką jakość życia

i ciekawe perspektywy rozwojowe.

– Wybraliśmy Garnizon, ponieważ panuje tu szczególnie pozytywny klimat, nie jest to dzielnica typowo biurowa, ale w udany sposób łączy funkcje komercyjne z usługowymi i mieszkalnymi – mówi Wojciech Krygowski, Head of GBS Hub & Spokes.

Szef gdańskiego biura zwraca również uwagę na architekturę, która wyróżnia Garnizon i jego nowe budynki biurowe.

- Charakterystyczną cechą budynku Yoko, w którym znajduje się nasze biuro, jest fasada ze stali kortenowej. Sprawia to, że obiekt wygląda bardzo oryginalnie, a upływ czasu tylko sprzyja jego estetyce.

WOJCIECH KRYGOWSKI: OBECNOŚĆ RÓŻNYCH, WSPÓLISTNIEJĄCYCH FUNKCJI W TEJ PRZESTRZENI SPRAWIA, ŻE PRACOWNICY CZUJĄ SIĘ TU DOBRZE I CHĘTNIE SPĘDZAJĄ TU CZAS, TAKŻE PO GODZINACH PRACY. DUŻYM ATUTEM JEST TEŻ DOSKONAŁE SKOMUNIKOWANIE Z POZOSTAŁYMI CZĘŚCIAMI TRÓJMIASTA CZY PORTEM LOTNICZYM.





BŁYSKOTLIWE BIURO DLA BŁYSKOTLIWYCH LUDZI

Zwiedzając biuro Swarovskiego, można poczuć się niemal jak na wystawie poświęconej przeszłości i teraźniejszości firmy. Charakterystycznym punktem, widocznym nawet z ulicy Norwida, jest instalacja umieszczona nad hołem, składająca się z 12 tys. drobnych kryształów, przypominających kropelki babiego lata.

Design biura również określić można mianem dzieła sztuki. Poszczególne piętra posiadają swoje hasła przewodnie, związane z wartościami i specyfiką firmy. I tak, idąc od góry, piętro trzecie poświęcone jest dziedzictwu (Heritage), stąd grafiki i eksponaty dokumentujące historię przedsiębiorstwa, łącznie z linią czasu pokazującą historię marki. Poziom 2 to moda (Fashion), można więc znaleźć tu liczne

materialne dowody współpracy Swarovskiego z wielkimi domami mody. I wreszcie poziom 1, czyli rzemiosło (Craftsmanship) – tu pracownicy mogą samodzielnie wykonywać kryształowe rękodzieła, przytwierdzając kryształy do różnych powierzchni w specjalnie do tego przygotowanym Creative Roomie. Nie służy to bynajmniej wyłącznie zabawie – członkowie zespołu Customer Service szkolą się tu w zakresie produktu, by móc efektywnie wspierać online klientów z całego świata.

Nie dziwi zatem, że rekrutacje prowadzone przez gdańskie biuro Swarovskiego cieszą się olbrzymim zainteresowaniem – i to na całym świecie! Zwłaszcza że wśród kandydatów poszukiwane są bardzo różne profile zawodowe.





- OD PODOBNYCH FIRM NA RYNKU ODRÓŻNIA NAS WIELE RZECZY, ALE MOJĄ ULUBIONĄ JEST PRZYKŁAD NASZEGO DZIAŁU CLIENT SERVICE I SATYSFAKCJA, O KTÓREJ OPOWIADAJĄ NASI PRACOWNICY, GDY WIDZĄ W WITRYNIE SKLEPOWEJ PRODUKT INNEJ MARKI Z NASZYMI KRYSZTAŁAMI. TO TEN MOMENT, GDY PRACA NIE JEST JUŻ TYLKO SAMYM PRZYCHODZENIEM DO BIURA, ALE STAJE SIĘ PRZYJEMNOŚCIĄ, PASJĄ I DUMĄ.

- Skala działalności Swarovski GBS i nasza różnorodność umożliwia wprowadzanie różnego rodzaju ścieżek karier – mówi Magdalena Marszałkowska, Communications Manager.

- Zapewniamy możliwość wejścia na rynek pracy absolwentom i osobom, którzy nie mają jeszcze żadnego doświadczenia, ale rekrutujemy także specjalistów z dziedziny finansów, kadr, IT, customer service, na stanowiska wymagające znajomości różnych języków, itd.

Oprócz zwykłych ścieżek awansowania w firmie, w ramach struktur kadrowych Swarovskiego możliwa jest nawet zmiana profesji – o ile pracownik jest gotowy i chętny do zmiany.

- Ktoś, kto dołączył do nas jako księgowy, może zaprzagnąć pracować w IT czy w dziale HR i tego typu decyzje życiowe i zawodowe też wspieramy – wyjaśnia Magdalena Marszałkowska. - Mogłabym wymieniać dużo znakomitych przykładów, jak choćby pracownik recepcji, który awansował do działu Global Master Data, a następnie do Content Managementu, albo młodszy księgowy, który zmienił zupełnie swój profil i awansował w dziale Customer Service na Managera Teamu, po czym wyleciał na kontrakt do

Kostaryki. Wszystkie tego typu awanse odbywają się w przeciągu 3-5 lat.

Managerka podkreśla, że praca gdańskiego GBS ma kluczowy wpływ nie tylko na niewidzialne dla konsumenta procesy korporacyjne, lecz również na globalny wizerunek marki i kształt nowych projektów i produktów z logiem Swarovskiego.



MIĘDZYNARODOWE TOWARZYSTWO

Wśród ok. 500 pracowników gdańskiego biura Swarovskiego, około 80 to tzw. ex-pats, czyli specjaliści z krajów innych niż Polska.

Tissegouine Rania, Team Manager w zespole Talent Acquisition, przyjechała nad polskie morze z Francji. - Mieszkałam już w kilku krajach, ale do Polski czuję wyjątkowy sentyment - mówi. - Bardzo cenię tu sobie bliskość morza, lasów czy jezior. Bardzo dużym atutem jest też różnorodna gastronomia, co przypomina mi trochę moje rodzinne miasto. Sama też uwielbiam gotować i marzę o otwarciu restauracji brunchowej w stylu francuskim, w której można poczuć się jak w domu. Może pewnego dnia...

Marco Casula, Team Manager w zespole Customer Service, do Gdańska przeprowadził się pięć lat temu z Londynu. - Początkowo myślałam, że będzie to dla mnie krótka przystanek, po czym przeniosę się do innego miasta w Zachodniej Europie. Nie doceniałam jednak potencjału, jaki ma w sobie Gdańsk. Jest tu wszystko, czego potrzeba do życia na wysokim poziomie. Miasto nie jest przeskalowane i chaotyczne, a jednocześnie nie ma w nim nudy. Istnieje tu zresztą spora społeczność ex-patów, którzy dodają różnorodności. Natomiast spośród wielu fajnych miejsc w Gdańsku za najfajniejsze uważam Garnizon.

Nie przychodzę tu tylko do pracy, często zostaję dłużej, by zajść do restauracji czy pubu. Lubię też wspinaczkę, więc chętnie wpadam z przyjaciółmi do Murallu powdrapywać się na ścianki lub pograć w szachy. W okolicy jest jeszcze klub kickboxingu i jujitsu, gdzie wieczorami chadzam odreagować dzień. W weekendy uwielbiam spacerować w Garnizonie z książką i okularami, by dotrzeć do jednej z okolicznych pięknych kawiarni, gdzie mogę uciec i zrelaksować się w towarzystwie miłej lektury. To świetna sprawa mieć na obszarze jednej dzielnicy możliwość realizacji tylu pasji.

▼ Impreza „Back to office” - ulica Norwida, wrzesień 2022.





TOMASZ KOCŁĘGA
stone / KAMIEŃ

„SZTUKA TO BEZPRZEWODOWA TRANSMISJA MYŚLI”
T. KOCŁĘGA

dr Zbigniew Ignacy Brzostowski
ASP w Gdańsku

Tomasz Kocłęga (ur. 1968) – rzeźbiarz, wykładowca w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Prowadził gościnne wykłady na uczelniach w USA, Indiach, Finlandii, Czechach, a jego dzieła rzeźbiarskie znajdują się na trzech kontynentach. I właśnie na twórczości rzeźbiarskiej artysta skupia się przede wszystkim, w niej upatrując właściwy sens swego życia i za jej pomocą najlepiej wyrażając emocje oraz poszukując prawdy o ludzkiej egzystencji.

Artysta uprawia rzeźbę figuratywną, której wiodącym tematem jest człowiek. Człowiek, który w ujęciu Tomasza Kocłęgi nabiera cech uniwersalnych, co zobrazowane zostało tak w zatarciu wyraźnych cech płciowych jak i organicznej formie ludzkich sylwetek. Dzieła Tomasza Kocłęgi mają charakter otwarty, wszystkie zwracają się ku własnej wyobraźni i interpretacji widza. Warto jednak pamiętać, że za każdą rzeźbą kryje się opowieść

o ludzkich sprawach, emocjach, kondycji, potrzebie skupienia i samotności w gwarze świata, o zmaganiach jednostki z rzeczywistością, poszukiwanie harmonii, dążenie do doskonałej równowagi. Organiczne kształty ludzkich sylwetek często skonstrastowane są z doskonałą formą szklanej kuli, w której można dostrzec niezwykle właściwości geometrii hiperbolicznej, ujawniającej mgliste wyobrażenie o nieskończoności.

Tomasz Kocłęga tworzy w materiałach tak szlachetnych jak brąz, złoto, kamień, szkło, lecz także w żywicy i plastiku. Odważnie zestawia i łączy te tworzywa, nie waha się pokrywać brązowych obiektów kolorowymi lakierami – poszukując nowych jakości, bądź zaskakujących efektów wizualnych skłaniających widza do estetycznej kontemplacji. Otwiera wrażliwość odbiorcy na rolę barw w przedstawieniach rzeźbiarskich Zachodu i Wschodu, na wspólne tradycje kulturowe.

RICHARD BONA: CO NA USTACH, TO POD PALCAMI

Dariusz Szreter

TAM, GDZIE SIĘ WYCHOWAŁ, NIE BYŁO SKLEPÓW MUZYCZNYCH, ODTWARZACZY, ANI NAWET RADIA. POZA ORGANAMI KOŚCIELNYMI WSZYSTKIE INSTRUMENTY TRZEBA BYŁO ZROBIĆ SOBIE Z SAMEMU Z TEGO, CO BYŁO POD RĘKĄ. PIERWSZĄ WŁASNĄ GITARĘ BASOWĄ KUPIŁ W WIEKU 21 LAT. A DZIŚ CAŁY ŚWIAT ZACHWYCA SIĘ JEGO KUNSZTEM. POZNAJCIE RICHARDA BONĘ, KTÓRY JUŻ W MAJU ZAGOŚCI W STARYM MANEŻU.

POŻYCZ ROWER, TO ZROBIĘ GITARĘ

Urodził się w 1967 roku na wschodzie Kamerunu, w niewielkiej osadzie Minta. Pochodził z muzycznej rodziny. Muzykami byli jego oboje rodzice, a dziadek był griotem, czyli muzykiem-opowiadaczem improwizującym pieśni pochwalne przy okazji narodzin, ślubów i pogrzebów. Ta tradycja w Afryce Zachodniej korzeniami sięga jeszcze czasów średniowiecza.

Z pomocą dziadka mały Bona Pinder Yayumayalolo – wówczas jeszcze nie używający europejskiego imienia Richard – zbudował swój pierwszy balafon, czyli rodzaj marimby. Już jako pięciolatek występował regularnie w kościelnym zespole. Grał także na innych instrumentach, z których większość sam konstruował. W jego pierwszej gitarze rolę strun pełniły linki do rowerowego hamulca. Na to, by się zapoznać z budową instrumentu i sposobem grania na nim, miał dwie godziny. Tyle w jego wiosce przebywał turysta, który podróżował z gitarą. Przez ten czas Bona nie odstępował go na krok.

Innym razem do Minty przyjechali misjonarze. Jeden miał ze sobą saksofon, na którym coś zagrał. Bona, który pierwszy raz w życiu widział i słyszał taki instrument, obserwował przez chwilę grającego, po czym poprosił czy nie mógłby sam spróbować czegoś zagrać. Kiedy skończył,

▲ fot. Bernd Scholkemper/Creative Commons

misjonarze nie mogli uwierzyć, że nigdy wcześniej nie trzymał saksofonu w rękach.

Stał się lokalną sławą. Ludzie przyjeżdżali z innych wiosek, żeby posłuchać jak gra.

JACO-SZOK. CZY TA PŁYTA NIE ZA SZYBKO GRA

Kiedy Bona miał 13 lat, rodzina przeniosła się do największego miasta w Kamerunie, Douali, gdzie jego ojciec dostał pracę kierowcy ciężarówki. Metropolia rządziła się swoimi prawami. Muzyka ludowa i tradycyjne instrumenty uchodziły tam za obciachowe. Liczyły się gitary. Bona – mimo młodego wieku – zrozumiał, że aby tam zaistnieć, musi nauczyć się nowych sztuczek. Gitarę potraktował tak, jakby to był balafon, a palce jego prawej ręki to były pałeczki. W rezultacie brzmiał jak żaden inny kameruński gitarzysta, a najważniejsi śpiewacy w Douali rywalizowali o to, by mieć go, jako akompaniatora, w swoim zespole.

Punktem zwrotnym na muzycznej drodze Bony okazało się otwarcie francuskiego klubu jazzowego w jednym z miejscowych hoteli. Został tam zaangażowany w roli bandleadera,

choć o jazzie nie wiedział wtedy absolutnie nic. Na szczęście jego patron miał niezwykle bogatą kolekcję płyt jazzowych, było więc z czego się uczyć. Przypadek sprawił, że pierwszy album, jaki Bona wybrał do przesłuchania, z około 400-500, jakie miał do dyspozycji, to była debiutancka płyta Jaco Pastoriusa z 1976 roku. Kiedy usłyszał otwierającą ją wersję tematu Charliego Parkera „Donna Lee”, zagrana tylko na gitarze basowej i kongach, oniemiał. Najpierw uznał, że coś jest nie tak z odtwarzaczem i płyta kręci się za szybko. Kiedy Francuz zapewnił go, że tak to właśnie zostało przez Jaco zagrane, kazał sobie ten dwuipółminutowy kawałek puszczać w kółko.

– Nigdy wcześniej nie słyszałem, aby ktoś tak grał. To mnie uderzyło, olśniło. Pomyślałem: „chcę grać jak ten facet” i zdjąłem dwie struny ze swojej gitary, zmieniając ją w czterostrunowy bas – wspomniał po latach.

NOWY JORK – SZYBKA DECYZJA

Kwestią czasu było, by ktoś z Europy odkrył utalentowanego nastolatka. Tą osobą stał się kolejny misjonarz. Kiedy dowiedział się, że Bona nigdy nie pobierał formalnej nauki muzyki, zainteresował jego osobą Instytut Goethego, który przyznał mu stypendium na studia w Niemczech. Bona nie czuł się tam jednak zbyt dobrze i szybko przeprowadził się do Francji, gdzie przynajmniej nie odczuwał bariery językowej. Tam kontynuował studia, jednocześnie udzielając się jako akompaniator luminarzy tamtejszego jazzu, m.in. skrzypka Didiera Lockwooda.

Władze francuskie, w przeciwieństwie do środowiska muzycznego, najwyraźniej nie poznały się jednak na Bonie i w 1995 odmówiły przedłużenia jego zezwolenia na pobyt i pracę w tym kraju.

To zresztą okazało się niezwykle korzystne dla jego dalszej kariery. 28-letni muzyk, praktycznie bez znajomości angielskiego, z 420 dolarami w kieszeni, wybrał się za ocean, do ojczyzny jazzu. Początkowo miał to być dwutygodniowy rekonesans, ale już trzeciego dnia zadzwonił do siostry oznajmiając: – Zostaję, Nowy Jork to jest moje miejsce.

ZAWINUL MU POMÓGŁ I... STRACIŁ 500 DOLARÓW

Pierwszy angaż, jaki tam dostał, to kierowanie zespołem towarzyszącym Harry'emu Belafonte. Wprawdzie złote lata kariery tego aktora i śpiewaka, popularyzatora muzyki karaibskiej, przypadły na lata 50.i 60., ale wciąż było to znaczące nazwisko w show-biznesie. Zresztą niebawem zyskał kolejnego, jeszcze cenniejszego mentora w osobie Joe'go Zawinula, niegdyś lidera formacji Weather Report (tej samej, w której występował też zmarły tragicznie w 1987 idol Bony – Jaco Pastorius). W 1997 roku Bona odbył światowe tournée, jako członek The Zawinul Syndicate. Zarejestrował też dwie studyjne płyty z tym zespołem („My People” i „Faces & Places”).

– Joe Zawinul to najważniejsza postać, jaką spotkałem w mojej karierze. Odkrył mnie dla świata jazzu. Był moim promotorem i bardzo oryginalnym muzykiem – przyznaje Richard Bona.

I faktycznie współpraca z Zawinulem otworzyła przed Boną nieprawdopodobne możliwości. Posypały się zaproszenia od takich tuzów światowego jazzu, jak: Pat Metheny, Herbie Hancock, Chick

Corea, Steps Ahead, Quincy Jones, David Sanborn, Harry Connick jr., Larry Coryell, Mike Stern, George Benson, Michael Brecker, Randy Brecker, Dianne Reeves czy Bobby McFerrin. Wystąpił jako jeden z gości na legendarnym koncercie tego ostatniego muzyka na festiwalu w Montrealu w 2005 roku. Na zarejestrowanym podczas tego wydarzenia DVD widać, jak spięty początkowo Bona stopniowo się rozluźnia i coraz swobodniej akompaniuje fenomenalnemu wokaliście – nie tylko na basie, ale także dośpiewując drugi głos. Opowiadał później, że jego zdenerwowanie wzięło się stąd, że McFerrin nie zorganizował żadnej próby. Powiedział tylko: – Wyjdźmy i zobaczymy, co się wydarzy.

Zasadniczo do współpracy z legendarnymi jazzmanami podchodził jednak bez kompleksów. Uczył się przecież grać z ich płyt i niejednokrotnie znał ich repertuar lepiej niż oni sami. Kiedyś wygrał z Joe Zawinulem zakład o 500 dolarów dotyczący jakiegoś niuansu jednej z kompozycji tego drugiego z płyty Weather Report z lat 70.

Obecność na rynku zdolnego basisty dostrzegli także gwiazdorzy pop: Stevie Wonder, Paul Simon, Queen Latifah, Chaka Khan.

Bona chętnie podejmował też współpracę z artystami z kręgu muzyki etnicznej: Tito Puente, Manu Dibango czy Salifem Keitą czy naszą Anną Marią Jopek.

CO WYŚPIEWAM, TO DAM RADĘ ZAGRAĆ

Występy u boku nawet najlepszych artystów nie zaspokajały jego ambicji. Miał w sobie dość własnej muzyki, by zacząć pracować





foto. Tom Beetz/Creative Commons

na swój rachunek. Dzięki wstawiennictwu Branforda Marsalisa podpisał pierwszy kontrakt z wytwórnią Columbia Jazz.

Jego debiut „Scenes from My Life” (1999) zawierał 12 piosenek w większości zaśpiewanych w jego rodzinnym języku duala. Muzycznie album łączył tradycyjną ludową muzykę kameruńską z elementami jazzu. Niektórzy krytycy wybrzydali, że brzmienie nieco zbyt wygładzone, ale czarowi Bony, zarówno jako basisty, jak i wokalisty, ale też kompozytora, trudno się było oprzeć. „Wirtuozeria Jaco Pastoriusa, lekkość śpiewu George’a Bensona, wycucie harmonii João Gilberto, a wszystko to zmieszane z kulturą afrykańską” – pisał z entuzjazmem jeden z recenzentów.

Śpiew jest dla niego niesłychanie ważny. Nie tylko jako środek artystycznej ekspresji, ale uczenia się. Mówi, że grając i jednocześnie śpiewając wytworzył w sobie rodzaj automatycznego połączenia między ustami a palcami, dzięki któremu jest zagrać praktycznie wszystko, co może wyśpiewać.

– Poza tym, kiedy śpiewasz, fizycznie przycumujesz muzykę do swojego ciała – wyjaśnia.

Śpiewu nauczył się od matki i – póki żyła – twierdził, że jest ona lepszą wokalistką od niego.

W ostatnich latach zadeklarował, że nie będzie już więcej śpiewać w językach

afrykańskich, jako że nawet w Afryce mało kto ich dziś używa. Również w tamtejszym radiu dominują piosenki śpiewane w językach kolonizatorów: francuskim, angielskim, portugalskim. Nie zamierza walczyć z tym zjawiskiem.

– Musimy zaakceptować niektóre realia i pogodzić się z nimi.

Zresztą – o czym wielu amerykańskich i europejskich słuchaczy nie ma pojęcia – część jego „egzotycznych” piosenek śpiewana jest w wymyślonym na poczekaniu języku.

ŻUREK, CZYLI MUZYKA TO SZKOŁA ŻYCIA I TOLERANCJI

Coś jednak było na rzeczy z tą nadmierną gładkością brzmienia pierwszej płyty, bo po nagraniu dwóch kolejnych krążków Bona uznał, że Columbia za bardzo popycha go w stronę muzyki środka, i przeniósł się do Universal Jazz. I tam od razu olśnił albumem „Tiki”, jednym z najlepszych w swojej dyskografii, pełnym werwy, rozkołysanym w rytmie samby, ale też tu i ówdzie wtrącającym motywy arabskie.

Ta różnorodność muzycznych zainteresowań jest charakterystyczna dla Bony. To nie tylko jazz przemieszany z tradycjami zachodniej Afryki. W 2011 nagrał album z muzyką bigbandową, w 2016 – z muzyką kubańską. Od kilku lat pracuje nad projektem flamenco,

który do tej pory, niestety, nie zmaterializował się w postaci płyty.

Mówi, że ma w sobie duszę poszukiwacza. Nie rozumie (choć czasem podziwia) muzyków, którzy przez dekady ogrywają ten sam repertuar. On tak nie potrafi. W żadnym zespole nie występował dłużej niż dwa lata.

– Kiedy robi się zbyt wygodnie, przewidywalnie, zabieram swoje rzeczy i ruszam dalej – deklaruje.

Nie tak dawno porzucił nawet swój ukochany Nowy Jork i przeniósł się na Florydę, bo tam ma więcej słońca.

Muzyka to dla niego także szkoła życia. Nauczyła go między innymi, by nie bać się odmienności, ale śmiało się na nią otwierać. To działa w obie strony, bo na całym świecie ludzie o odmiennych korzeniach przyjmują jego muzykę z entuzjazmem i radością.

Jeśli chodzi o nasz kraj, to poza uwielbieniem fanów, doświadczył tu smaku pierogów i żurku. Ten ostatni potrafi nie tylko samemu ugotować, ale też poprawnie wymówić jego nazwę.

Ile razy występował już w Polsce?

– Zbyt wiele – śmieje się, ale wraca.

W STARYM MANEŻU ZAGRA I ZAŚPIEWA W PIĄTEK 19 MAJA.

DARIUSZ SZRETER

Gdański publicysta, przez ćwierć wieku związany z „Dziennikiem Bałtyckim”, obecnie w tygodniku „Zawsze Pomorze”. Prowadził audycje muzyczne w Radiu Gdańsk i Gdynia Radio. Współautor filmu dokumentalnego „Czy mnie jeszcze pamiętasz?” o gdańskich początkach kariery Czesława Niemena.





ELIKSIR, CZYLI MAGICZNE Swatanie

GARNIZON.PL

Paweł Durkiewicz

CO W GASTRONOMII ODDZIELA „WYBITNE” OD „BARDZO DOBREGO”? POWIĘDZMY, ŻE ODROBINA MAGII. W GARNIZONIE JEST ZAŚ MIEJSCE, GDZIE CZARODZIEJE KULINARIÓW MAJĄ SWÓJ DOM. ZWIE SIĘ ON ELIKSIR – PEWNIĘ OBIŁO WAM SIĘ O USZY. TO WŁAŚNIE TU PO MISTRZOWSKU PARUJE SIĘ ZE SOBĄ DANIA I DRINKI. A TO NIE WSZYSTKO.

▲ fot. Alka Murat

Swatanie wykwintnych dań z oryginalnymi koktajlami to znak rozpoznawczy Eliksiru. Kojarzone tu pary tworzą niebanalne, odważne, ale koniec końców harmonijne związki. W zeszłym roku restaurację przy ulicy Hemara 1 odwiedził sam słynny Robert Makłowicz i, jak przyznał, w całej Polsce nie widział jeszcze niczego podobnego.

MAGIA Z MOLEKUŁ

Za tym autorskim konceptem stoi duet przyjaciół, zaliczających się do polskich prekursorów kuchni molekularnej – Mateusz Trzeciak i Paweł Wątor. Swoje doświadczenia w branży cateringowo-eventowej postanowili wykorzystać w ściśle autorskim konceptie. W Eliksirze co trzy miesiące zbierają się wraz z zespołem na „burzę mózgów”, by układać kolejne propozycje niebanalnych zestawień, wzbogaconych o sezonowe dobrodziejstwa – owoce, zioła czy warzywa.

- Miałem okazję pracować kiedyś w restauracji, która zmieniała kartę co tydzień... Cykl trzymiesięczny jest jednak optymalny, choć trzeba zaznaczyć, że i tak musimy się sporo napocić, żeby przygotować za każdym razem coś, co jest satysfakcjonujące dla nas i ciekawe dla gości – mówi Paweł Wątor. – Stawiając na sezonowość, musimy brać pod uwagę różne czynniki, w tym sytuację na rynku i dostępność produktów regionalnych. Natomiast ta burza mózgów u nas to zdecydowanie nadmiar pomysłów niż ich niedobór. Co bardziej doświadczeni z nas muszą moderować sytuację, ponieważ niektóre z propozycji, które padają, są aż nazbyt ambitne. Oczywiście, w kuchni wszystko jest możliwe, ale przecież to jest restauracja – nie

każemy przecież gościom czekać dwie godziny lub nie będziemy tworzyć w kuchni wąskiego gardła z powodu jednego dania. Serwowanie produktu gotowego z kolei nie jest zgodne ze sztuką, więc też nie wchodzi w grę. Musimy więc stosować pewne kompromisy, choć staramy się zawsze uzyskiwać jak najlepszy efekt.

Efekty są co najmniej dobre. Restauracja przy Hemara cieszy się dobrze ugruntowaną marką nie tylko w Gdańsku i Polsce, ale i całej Europie – goście z zagranicy stanowią dziś ok. 20 proc. odwiedzających.

CEGLY W PEREŁCE

Wszystko zaczęło się w 2015 roku, gdy Eliksir zajął razem z cukiernio-kawiarnią Umam poziom parteru zabytkowej Willi Komendanta.

- Od razu zakochaliśmy się w tym miejscu, bo i jest to prawdziwa perełka w Garnizonie – wspomina Mateusz Trzeciak. – Prace nad wystrojem wnętrza trwały długo, głównie dlatego że mieliśmy bardzo skonkretyzowaną wizję, której ważnym elementem była widoczna cegła, nawiązująca do historii tego lokalu i dodająca klimatu. Jeśli chodzi o gastronomię, początkowo miał to być cocktail bar z przekąskami kuchni molekularnej. Projekt jednak ewoluował i powstała restauracja typu fine casual, w której parujemy dania z koktajlami. Chcieliśmy wytworzyć w naszym lokalu rodzaj magii, a zależało nam przy tym, żeby nazwa była ponadczasowa brzmiała podobnie po polsku i po angielsku. Tak powstał nasz Eliksir.

Eliksirowe menu nie sposób zbiorczo przyporządkować geograficznie do konkretnej kuchni czy nurtu kulinarnego. Należy tu wspomnieć, że w fantastycznych koktajlach z Eliksiru nierzadko lądują składniki, które

PROJEKT JEDNAK EWOLUOWAŁ I POWSTAŁA RESTAURACJA TYPU FINE CASUAL, W KTÓREJ PARUJEMY DANIA Z KOKTAJLAMI.



znaliśmy dotąd ze słoików naszych babć, np. burak, brukiew, ogórek, pietruszka czy ćwikła. Daje to nieraz zaskakujące efekty. Z drugiej strony są również specjały z różnych stron świata, np. przegrzebki i łososie ze Szkocji czy trufle z Włoch. Idealnym sposobem na sprawdzenie kunsztu i wszechstronności kucharzy jest menu degustacyjne, składające się z wyselekcjonowanych pairingów „danie plus koktajl”. Dla tych, którzy nie chcą lub nie mogą pozwolić sobie na „procenty”, istnieje opcja koktajli bezalkoholowych – bez wątpienia równie intrygujących!

**IDEALNYM SPOSOBEM NA SPRAWDZENIE KUNSZTU I WSZECSTRONNOŚCI KUCARZY JEST MENU DEGU-
STACYJNE, SKŁADAJĄCE SIĘ Z WYSELEKCYONOWANYCH
PAIRINGÓW „DANIE PLUS KOKTAJL”. DLA TYCH, KTÓRZY
NIE CHCĄ LUB NIE MOGĄ POZWOLIĆ SOBIE NA „PRO-
CENTY”, ISTNIEJE OPCJA KOKTAJLI BEZALKOHOLOWYCH
– BEZ WĄTPIENIA RÓWNIIE INTRYGUJĄCYCH!**

ELIKSIR „TO GO”

Biorąc pod uwagę profil i reputację Eliksiru, łatwo dojść do wniosku, że pracujący tu barmani muszą być doświadczonymi mistrzami w swoim fachu – takimi, którzy nie tylko przygotowują drinki, lecz również ciekawie o nich opowiadają. Nie mają w sobie przy tym despotycznych zapędów, umożliwiają więc gościom komponowanie koktajli według własnych wizji.

Inną ciekawą propozycją dla osób lubiących eksperymenty jest „Eliksir w Butelce”.

- W okresie pandemii i lockdownów nie mogliśmy przyjmować gości w lokalu, szukaliśmy więc sposobu by udostępnić im naszą ofertę w inny sposób – opowiada Mateusz Trzeciak. – Ruszyliśmy więc ze sprzedażą internetową eliksirów butelkowanych, czyli naszych autorskich mieszanek służących do przygotowywania koktajli w domowych warunkach. Świetnie wychodzą po prostym zmieszaniu z dowolnym alkoholem, można jednak również stosować je jako bazę do bardziej skomplikowanych kompozycji. Zainteresowanie okazało się na tyle spore, że po zdjęciu covidowych ograniczeń pozostawiliśmy tę ofertę na stałe.



GARNIZON.PL



ODROBINA MAGII Z HAWANY

Eliksir, jak przystało na miejsce z klasą, posiada również salon przeznaczony na palenie wysokogatunkowych cygar. W ofercie są wyroby z Kuby i wielu innych krajów regionu Ameryki Środkowej.

- Pomysł na ten specjalny pokój zrodził się już w toku rozwoju Eliksiru – wspomina Mateusz Trzeciak. – Jest to bardzo mała nisza, ale znów zagrał tu nasz pociąg do eksperymentowania. W efekcie staliśmy się jednym z pierwszych w Trójmieście lokali z cigar roomem. Mamy szeroki wybór jakościowych wyrobów z różnych rynków. Dbamy o nowinki, przeprowadzamy też degustacje, proponujemy też parowania z dobrymi koniakami czy whisky.



▲ od lewej: Paweł Wątor, Mateusz Trzeciak, założyciele Eliksiru, fot. Alka Murat

WIOSENNE KLIMATY NA TALERZU

W czasie pisania niniejszego tekstu, w Willi Komendanta co rusz grzmiało i błyskało, jako że trwała kulminacyjna część burzy mózgów w temacie wiosennej karty. W kularach dowiedzieliśmy się, że w karcie znajdują się m.in.:

- wegańskie gazpacho białe z migdałów i kopru włoskiego, z dodatkiem pikantnej oliwy paprykowej i szparagami,
- krem z czosnku niedźwiedziego na wywarze rybnym z marynowanym dorszem,
- zębacz z panna cottą szafranową, zielonym ragout i solirodem oraz
- biała rzodkiew z piklowanymi wakame, puree z groszku, duxelle z shitake i sosem dashi.

BRZMI ZACHĘCAJĄCO? NO WŁAŚNIE... I JAK TU NIE KOCHAĆ WIOSNY?

DLA CIAŁA
I DUCHA

AMBER HAMMAM: BAŁTYCKO-TURECKI DOBROSTAN

Zdjęcia: Alka Murat

JEST W GARNIZONIE MIEJSCE, GDZIE ROZPIESZCZA SIĘ ZMYŚŁY, STOSUJĄC KOMBINACJĘ DROGOCENNEGO NADBAŁTYCKIEGO SUROWCA I BLISKOWSCHODNIEGO RYTUAŁU. TO AMBER HAMMAM®, KAMERALNE SPA LECZNICZE STWORZONE Z DBAŁOŚCIĄ O KAŻDY DETAL PRZEZ MONIKĘ RYMASZEWSKĄ.

Jak wiadomo, podróże kształcą, a do tego inspirują. Pani Monika, odwiedzając przed paroma laty Turcję, wpadła na pomysł, który skłonił ją do otwarcia zupełnie prekursorskiej działalności. Będąc na wakacjach, z ciekawości i spontanicznie, choć nie bez pewnych obaw, odwiedziła z koleżankami hammam – charakterystyczne dla tamtych rejonów świata miejsce, w którym łączy się relaks w łaźni parowej z oczyszczającym masażem.

- Trafiłam na kapitalny hammam, w nowo otwartym hotelu, gdzie wszystko było dopięte na ostatni guzik - wspomina. - Wrażenie było fantastyczne i od razu zakochałam się w tym rytuale. Na tyle, że zaczęłam myśleć o pokazaniu go w Polsce. Zdziwiłam się zresztą, że jest u nas tak mało znany i rozpowszechniony.

Do typowo tureckiej formuły pani Monika postanowiła jednak dodać składnik ekstra.

- Bursztyn kojarzymy głównie z biżuterią, tymczasem szereg innych jego cech może być stosowana w kosmetyce, terapii czy rytuałach spa. Jest na ten temat coraz więcej badań, od

- KOCHAM GDAŃSK, A NASZE MIASTO JEST PRZECIĘŻ ŚWIATOWĄ STOLICĄ BURSZTYNU. BURSZTYN TO WRĘCZ NASZA IKONA. STWIERDZIŁAM WIĘC, ŻE WARTO BYŁOBY WYKORZYSTAĆ JEGO ZALETY W TURECKIM RYTUALE – OPOWIADA MONIKA RYMASZEWSKA.

GARNIZON.PL

Paweł Durkiewicz





wieków był zresztą stosowany jako lekarstwo, panaceum na wiele dolegliwości. Oczywiście, bursztyn bursztynowi nierówny, ale nasz, nadbałtycki, czyli sukcyinit, jest akurat szczególnie ceniony - podkreśla.

Tym sposobem powstało miejsce, którego specjalnością są zabiegi wykorzystujące bursztynowe kosmetyki i tureckie rytuały. To pierwszy koncept na świecie stosujący tego typu kombinację. Dodatkowo, Amber Hammam® to podmiot leczniczy, który łączy ze sobą zalety spa i sanatorium.

Lokal przy ul. Chrzanowskiego zawiera w sobie wszystkie elementy orientalnego hammamu, znajdziemy tu więc prawdziwą łaźnię parową, gdzie relaksujemy się, a nasza skóra nagrzewa

się i nabiera elastyczności. W sąsiednim pomieszczeniu znajdują się podgrzewane kamienne łoża, na których – po obmyciu skóry ciepłą wodą – wykonywane są peelingi oczyszczające skórę przy użyciu charakterystycznej szorstkiej rękawicy (kessa). Następnie ciało pokrywane jest mięciutką kołderką z piany mydlanej i jest delikatnie masowane. Kolejny etap rytuału to odprężający masaż całego ciała, podczas którego w skórę wcierany jest bio olej arganowy oraz aromatyczne olejki kwiatowe. Na sam koniec przechodzimy do sali relaksu, gdzie raczymy się turecką herbatką çay i chałwą, daktylami lub tradycyjnym przysmakiem lokum.

Efekt? Dogłębnie oczyszczona i odżywiona skóra, rozluźnione mięśnie, a jednocześnie poczucie całkowitego relaksu, wewnętrznego spokoju i przyływu energii witalnej.

Dodajmy, że całemu rytuałowi sprzyjają świetnie dopracowane szczegóły, takie jak wysmakowany wystrój lokalu, płynąca z głośników subtelna muzyka czy unoszące się w powietrzu naturalne aromaty. Całość pozwala poczuć wrażenie kilkugodzinnej podróży do nieco innego, egzotycznego świata.

Dodajmy, że w Amber Hammam oprócz bursztynów, spróbować można także innych dobroczynnych kosmetyków – na bazie miodu, borowiny czy czekolady – w formule całego lub częściowego rytuału. Ciekawą opcją na celebrowanie wyjątkowych okazji jest możliwość zarezerwowania lokalu na spotkanie we dwoje lub spotkanie w gronie przyjaciół, np. wieczór panieński. Wyjątkowe (i inspirujące) wspomnienia są wówczas gwarantowane.



KILKORO ZNANYCH Wrzeszczan

GDYBYŚMY W SONDZIE ULICZNEJ ZAPYTALI O SŁAWNEGO WRZESZCZANINA BĄDŹ WRZESZCZANKĘ, ZAPEWNE NAJCZĘŚCIEJ USŁYSZELIBYŚMY JEDNĄ ODPOWIEDŹ: GÜNTER GRASS. URODZONY W NASZEJ DZIELNICY PISARZ-NOBLISTA SŁUSZNIE JEST Z NIĄ KOJARZONY, JEDNAK ZNANYCH POSTACI, W KTÓRYCH BIOGRAFII ONA SIĘ PRZEWIJA JEST WIĘCEJ. OTO MÓJ SUBIEKTYWNY WYBÓR SIEDMIORGA Z NICH.

▲ Pomnik Güntera Grassa na pl. Józefa Wybickiego we Wrzeszczu; na ławeczce noblicie towarzyszy Oskar Matzerath, bohater jego najsłynniejszej powieści „Błaszany bębenek”, fot. Jarosław Wasielewski.

Jarosław Wasielewski

„ESPERANCKA MATECZKA”

Nasz przegląd zaczynamy od Esperanckiej Mateczki (Esperanto-Partineto), dziś nieco zapomnianej, ale przed wojną rozpoznawanej **Anny Tuschinski (1841-1939)**. Ta gdańska nauczycielka była pionierką ruchu esperantystów w naszym mieście, a mieszkała i pracowała przy dzisiejszej ul. Matki Polki 3a. Nie tylko założyła pierwszy Gdański Związek Esperantystów (1907), ale także dzięki jej staraniom w 1912 roku w Gdańsku i Sopocie zorganizowano VII Ogólnoniemiecki Kongres Esperantystów, zaś w 1927 – XIX Światowy Kongres Esperantystów. Niemka w niemieckim Gdańsku czyniąca wysiłki na rzecz pojednania narodów przez używanie uniwersalnego języka jest postacią fascynującą – zwłaszcza dziś, w polskim już Gdańsku i jednoczącej się Europie. Matka gdańskiego baletu.

Inną związaną z Wrzeszczem kobietą z pasją była „matka gdańskiego baletu” – Janina Jarzynówna-Sobczak (1915-2004). Podczas gościnnego pobytu w Gdańsku w 1946 roku dała się namówić na założenie tu szkoły baletowej i wkrótce przy ul. Jaśkowa Dolina 11, gdzie zamieszkała, otworzyła Szkołę Tańca Artystycznego. Tę w 1952 roku przekształcono w Państwową Szkołę Baletową, która działa do dziś w gmachu przy al. Legionów. Jarzynówna-Sobczak pełniła w niej funkcję dyrektorki i pedagogażki, a jako choreografka współpracowała z kluczowymi miejskimi instytucjami kultury, m.in. z Teatrem Wybrzeże, Operą Bałtycką i Filharmonią Bałtycką. Jest pochowana na cmentarzu na Srebrzysku, a kamienicę, w której mieszkała i pracowała, dziś zdobi tablica pamiątkowa.



▲ Anna Tuschinski w 1931 r., zbiory ÖNB Wien



▲ Pomnik Anny Walentynowicz na skwerku jej imienia, w sąsiedztwie domu, w którym spędziła większość dorosłego życia, fot. Jarosław Wasielewski

„ANNA SOLIDARNOŚĆ”

Także i trzeciej z wybranych przeze mnie do tego przeglądu kobiet nie brakowało pasji. **Anna Walentynowicz (1929-2010)**, najpierw była spawaczką w Stoczni Gdańskiej, przodownicą pracy i socjalistyczną działaczką, a później suwnicową, działaczką Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża i sygnatariuszką Porozumień Sierpniowych. Jako dwudziestokilkulatka zamieszkała w nowym wówczas bloku Grunwaldzkiej Dzielnicy Mieszkaniowej (al. Grunwaldzka 49), które otrzymała po napisaniu listu do ówczesnego prezydenta Bolesława Bieruta. W późniejszych latach, w czasie jej działalności w opozycji demokratycznej, w mieszkaniu tym spotykali się działacze, a ją samą namiętnie inwigilowała ówczesna Służba Bezpieczeństwa. Anna Walentynowicz zginęła w katastrofie samolotu rządowego pod Smoleńskiem, jest pochowana na cmentarzu na Srebrzysku. Upamiętniono ją potrójnie: na budynku, w którym mieszkała, wisi tablica pamiątkowa, a na pobliskim skwerku jej imienia stoi jej pomnik.

RZECZNIČKA ZAPOMNIANYCH GDAŃSZCZAN

Także życiorys **Gabrieli Danielewicz (ur. 1939)**, dziennikarki i pisarki, jest ściśle związany z Wrzeszczem. Mieszka tu od 1945 roku, niezmienne w willi przy ul. Szczepana Pileckiego, tu także uczęszczała do szkoły średniej (II Liceum Ogólnokształcące). Jej bodaj największą zasługą jest przywracanie i utrwalanie pamięci o zasłużonych gdańszczanach. Wydała 19 książek dotyczących Gdańska i Sopotu, m.in. *Polki w Wolnym Mieście Gdańsku* (1985, we współpracy z Marią Koprowską i Mirosławą Walicką) oraz *Wkręgu Polonii gdańskiej* (1996). Napisała także dwie książki wspomnieniowe, w całości poświęcone pierwszym powojennym latom w naszej dzielnicy: *Pamięci powojennego Gdańska-Wrzeszcza* (2009) oraz *Gdańsk-Wrzeszcz, co odszedł w przeszłość* (2010). Nie sposób dziś zgłębiać dzieje mniejszości polskiej w przedwojennym Gdańsku czy pierwszych powojennych lat we Wrzeszczu bez znajomości jej książek.

NOBLISTA

Skoro od niego zacząłem, to dla porządku dopowiem: **Günter Grass (1927-2015)** urodził się w szpitalu przy dzisiejszej ul. Klinicznej, początkowo mieszkał z rodzicami przy dzisiejszej ul. Antoniego Lendziona 5a, następnie przy ul. Joachima Lelewela 13. Chodził do kościoła przy ul. ks. Józefa Zator-Przytockiego i szkół przy ulicach Jana Pestalozziego i Grzegorza Piramowicza. I nawet po przymusowej „wyprowadzce” za Odrę po zmianie granic w wyniku drugiej wojny światowej Grass regularnie wracał do Wrzeszcza, bo jednak czuł, że jest tu u siebie. To w przedwojennym Wrzeszczu rozgrywają się akcje wielu jego powieści, m.in. słynnej gdańskiej trylogii: *Błaszany bębenek*, *Kot i mysz* oraz *Psie lata*. Poza tablicą na froncie kamienicy, w której dorastał, Grass ma w naszej dzielnicy także własny pomnik oraz rondo swojego imienia.



▲ Albert Carsten, źródło: Gedanopedia

BUDOWNICZY POLITECHNIKI

Pierwszym mężczyzną na naszej liście jest **Albert Carsten (1859-1943)**, architekt, projektant i budowniczy wrzeszczańskej politechniki. Podjął się tego gigantycznego zadania na osobiste życzenie cesarza Niemiec Wilhelma II. Początkowo mieszkał przy dzisiejszej ul. Stanisława Pawłowskiego 5, następnie w zaprojektowanej przez siebie willi przy dzisiejszej ul. Stefana Batorego 10. Po oddaniu kampusu do użytku (1904), Carsten został miejskim urzędnikiem budowlanym oraz profesorem wybudowanej przez siebie uczelni. Był cenionym teoretykiem i praktykiem, we Wrzeszczu zaprojektował także m.in. domy na osiedlu Nowe Szkoty (rejon ulic Jana Kochanowskiego, Adama Mickiewicza i Sebastiana Klonowicza), siedzibę Akademickiego Klubu Żeglarskiego przy dzisiejszej al. Zwycięstwa 23 (obecnie konsulatus RFN) oraz willę przy obecnej ul. Sobótki 18. Z powodu żydowskiego pochodzenia niemieccy naziści zmusili go do dymisji i wyjazdu z Gdańska do Berlina, skąd w 1943 roku wywieziono go do getta w Terezynie, gdzie zmarł.

PROZAIK I ANIMATOR

Przy ul. Joachima Lelewela z kolei przez wiele lat mieszkał **Bolesław Fac (1929-2000)**, dziś nieco zapomniany prozaik, poeta i tłumacz. Ukończył wrzeszczańskie Conradinum, pracował w Stoczni Gdańskiej oraz w Katedrze Filologii Germańskiej Uniwersytetu Gdańskiego. Fac był animatorem lokalnego życia literackiego i kulturalnego, autorem kilkunastu tomików wierszy, siedmiu powieści (m.in. *Aureola, czyli powrót do Wrzeszcza*), a także sztuk teatralnych oraz przekładów z literatury niemieckiej. Zainicjował także ustanowiony w 1991 Konkurs Literacki Miasta Gdańska, który obecnie nosi nazwę Gdański Konkurs Literacki im. Bolesława Faca. Został pochowany na cmentarzu na Srebrzysku.

Z HUMOREM





◀ Długi Targ i Ratusz Głównego Miasta w Gdańsku na rycinie Bertholda Hellingratha, zbiory Westpreußisches Landesmuseum

GRAFIK WOLNEGO MIASTA

Przez pewien czas przy dzisiejszej ul. Józefa Fiszera 13 mieszkał **Berthold Hellingrath (1877-1954)**, malarz najbardziej znany ze swoich prac graficznych. Wychował się w Gdańsku i tu też powrócił po studiach. Pracował m.in. w tutejszej stoczni, gdzie malował obrazy olejne, którymi dekorowano okręty. Hellingrath tworzył także – zaliczane do najlepszych – ryciny z motywami architektury gdańskiej oraz grafikę użytkową. Wśród tej ostatniej znalazł się pierwszy gdański znaczek pocztowy oraz wydawane w dużych nakładach pocztówki. Hellingrath opuścił nasze miasto w 1925 roku.

...I KILKORO INNYCH

We Wrzeszczu mieszkała także m.in. **Róża Ostrowska (1926-1975)**, pisarka, aktorka i scenarzystka, **Edmund Fetting (1927-2001)**, aktor i piosenkarz, **Zbigniew Kuźmiński (1921-2005)**, reżyser filmowy, telewizyjny i teatralny, scenarzysta, **Arkadiusz Rybicki (1953-2010)**, działacz opozycji antykomunistycznej, polityk, działacz społeczny, oraz **Mikołaj Trzaska (ur. 1966)**, jazzowy saksofonista i klawecista, z którym wywiad można przeczytać na początku niniejszego numeru.

► fot. Sandra Skwierawska



JAROSŁAW WASIELEWSKI

Badacz i popularyzator historii Gdańska, współautor m.in. serii albumów Wrzeszcz na dawnej pocztówce, publikuje na portalu Trójmiasto.pl oraz w czasopiśmie 30 dni, pisze także bloga: jarekwasielewski.pl/zwrzeszcza

KRYZTAŁ

Tymoteusz Skiba

FRAGMENT POWIEŚCI

Twierdziła, że każde poukładane życie zmierza w kierunku totalnego chaosu. Wyznawała teorię, że świat wznosi się i stacza w przepaść, jakby był szprychą w nieustannie toczącym się kole fortuny. Miała do tego prawo, po tylu przebytych klęskach i rozczarowaniach. Jej świat był jak sinusoida. Któż jednak jest w stanie żyć podług własnych teorii? Zwłaszcza katastroficznych. Podświadomie chcemy, żeby okazały się fałszem.

Teoria Wandy niestety sprawdziła się. Tego dnia zadzwoniła do mnie przez hotelowy telefon. Powiedzieć, że płakała, to nic nie powiedzieć. Potoki łez w słuchawce zagłuszały przeklęty ocean. Przyłóż do ucha telefon, jak muszlę, a usłyszysz rozpadające się życie. Wanda płakała i klęła. Rzuciła ku** ami przez lzy jakby skończył się świat.

Policja oczywiście niczego nie ustaliła. Nie szukali żadnych tropów, po prostu poszli na łatwiznę. Nikogo nie podejrzewali. Sprawę zamknięto zaraz po rozpoczęciu. No cóż, było powszechnie wiadomo, że detektywów to oni nie mieli dobrych. W zasadzie nadawali się jedynie do pałowania lokatorów z niższych pięter. Hotelowe media mocno nagłośniły sprawę – pojawiały się nawet głosy podważające tezę o samobójstwie czy nieszczęśliwym wypadku – w końcu chodziło o człowieka z branży, ale następnego dnia wyszła na jaw afery z przeciekami na minus siódmym piętrze. Sprawa była polityczna, bulwersująca i została tak rozdmuchana przez aktywistów



oraz opozycję, że całkowicie przykryła tragedię, jaka się wydarzyła w pokoju 18710.

Wanda pracowała jako dziennikarka w Falach, w dziale kulturalnym. Był to typowy tygodnik społeczno-polityczny, jeden z poważniejszych tytułów wydawanych w tej części oceanu i z pewnością największy w samym Vortexie. Do dziennikarstwa trafiła za sprawą taty, który pracował jako fotoreporter w drapaczach chmur na całym oceanie. Stefan znał branżę na wylot. Kiedy pojawiła się Wanda, osiedlił się z nią w Vortexie – wieżowcu, który wydawał mu się najmniej przygnębiający ze wszystkich, w jakich zdarzyło mu się przebywać. Odsunął pracę na drugi plan. Miał pod opieką małego człowieka i plan na wspólną podróż przez życie. Na początek wynajął im mieszkanie na 18 piętrze nad poziomem oceanu. Było to bardzo dobre mieszkanie. Mieszkanie, w którym nauczyli się być ojcem i córką.

- Musimy ustalić, kto go zabił – powiedziała

Wanda, nie wiadomo czy do mnie, czy do jakichś sił tajemnych, z którymi zawarła pakt. Stała przed wielkim panoramicznym oknem swojego apartamentu. Z okna rozciągał się widok na nieprzebrany ocean. Z tej wysokości fale wydawały się powolne i niewielkie. W rzeczywistości wznosiły się wyjątkowo wysoko i wściekle, jakby wzburzone pod wrokiem Wandy. Czy gdzieś się kończyły? Nigdy nie dosięgały okien 14 piętra, zdaje się, że czasem, podczas wyjątkowo wielkich sztormów, jedynie wiatr unosił krople oceaniczne na tę wysokość. A przynajmniej tak słyszałem.

Tego dnia szyby były całkowicie suche. A jednak do środka pokoju wlewała się szarość całego oceanu, zatapiała nas, jakbyśmy zjeżdżali zewnętrzną windą w trzewia wieżowca. Może nie było dla niego żadnych granic. Ocean wysysał wszystkie kolory wszechświata, szkicował rzeczywistość miękkim ołówkiem, rozcierał na naszych twarzach rozkruszony grafit. Wanda nie powiedziała nic więcej.

Vortex stał pośrodku oceanicznej pustyni północnej półkuli ziemskiej. W promieniu tysięcy kilometrów nie było żadnego innego wieżowca, który przetrwał katastrofę. Cała ziemia stała się Atlantydą.

Samotny drapacz chmur. Schronienie dla kilkudziesięciu tysięcy osób o stu pięćdziesięciu piętrach użytkowych, w tym dwudziestu podwodnych. Mrowisko. Kłębowisko. Życie wewnętrzne wieżowca przypominało w wielu aspektach życie zwykłego miasta. Praca, dom, podatki, narodziny i zgon. Nic nowego. Stare narkotyki, w nowych opakowania. Ta sama depresja, ta sama psychoterapia. Ci sami celebryci, politycy, influencerzy, tylko że w innych ciałach. Nic się nie zmieniło. Nie mieliśmy ulic i samochodów, ale mieliśmy godziny szczytu przy windach. Może cały świat pogrążył się w chaosie, ale urzędy skarbowe przetrwały. W ogóle wszelka biurokracja miała się wyśmienić. Jak karaluchy. Jakoś tam się toczyło

życie kulturalne, ale nie wierzyłem w sztukę ani w literaturę. Człowiekowi, który nie zdążył się urodzić przed końcem świata, wszystko wydaje się dogłębnie banalne. Dlatego wolałem łatwe przyjemności. A Vortex był nimi wypełniony. Był to zresztą świat kontrastów. Tanie knajpy i drogie restauracje, modne kluby i podłe bary, biblioteki i burdele, piętra ekskluzywne i zapuszczone. W zasadzie Vortex nie był miastem. Był aglomeracją ściśniętą w formę gargantuicznego hotelu, którego lokatorów łączyła jedynie zasada wyzysku.

Nie widziałem Wandy przez kilka dni. Dzwoniłem, ale nie mogła rozmawiać. Sam też miałem sporo roboty. W firmie się nie kręciło, szef chodził wkurzony, wszyscy musieli udawać, że zapieprzają.

- Michu, co z tymi nowymi projektami? – boss mówił na mnie Michu, choć nazywałem się zupełnie inaczej.

- Jeszcze nie zostały...

- Kiedy, ku**a, będę miał nowe projekty?! Nie widzisz, że potrzebujemy nowych roślin? Ja pier**ię, jak mamy się utrzymać, skoro nie mamy czego sprzedawać?

- Nowe projekty będą ku**a za 5 sekund! Zadowolony, kretynie? – tego oczywiście nie powiedziałem. Nie miałem odwagi. Poza tym gdybym stracił robotę, musiałbym się pewnie przenieść do tańszych apartamentów pod poziomem oceanu. A nie miałem na to ochoty.

- Jutro, szefie, jutro.

- Dobrze. Skróćcie fazę testową do minimum. Przed wysłaniem na produkcję chcę wszystko zobaczyć w aerze – zakomunikował i wyszedł. Zawsze kazał skracać fazę testową do minimum. Interesowały go tylko wizki w rozszerzonej rzeczywistości. A potem fala reklamacji. Nieprzetestowane plantoidy szalały. Przegrzewały się, na liściach namnażały się bad pixele, w łodygach przepalały się przewody, a w korzeniach szwankowały czujniki. Serwis zapie**ał jak szalony. Ale ja miałem to w dupie. Po robocie wrzucałem piwko albo emkę i było mięciutko. Łądowałem w puchu wysłanym miłością do całego świata. Zresztą cała ta rozszerzona rzeczywistość, w której robiliśmy testy sztucznych roślin, też była trochę jak trip, tylko że po kwasie.

Przyczyny spadających obrotów były tajemnicą poliszynela. Po prostu konkurencja nas wyprzedziła. Produkowali coraz więcej sztucznych plantoidów, które coraz bardziej przypominały autentyczne rośliny. Co z tego, że mieliśmy pięć rodzajów pomidorów, skoro każda roślina miała jakieś błędy. Konkurencja oferowała jedynie dwa rodzaje – koktajlowe i malinowe – ale dopracowane. Oba w formie doniczkowych krzaczków, zaprogramowanych z najwyższą jakością. Ci, którzy ze względów finansowych decydowali się na posiadanie sztucznej rośliny, oczekiwali dobrej imitacji – takiej, która zaowocuje w odpowiedni sposób, a jej liście nie porażą nikogo prądem. Zresztą nie wspominałem jeszcze o kaktusach. Boss miał pie**olca na punkcie sukulentów, zwłaszcza kłujących, dlatego wdrażał projekt za projektem. Tylko nieliczne się do czegoś nadawały. Szefuńcio opamiętał się dopiero, kiedy partia wadliwych echinocactusów eksplodowała w magazynach, dziurawiąc kolcami podzespoły innych roślin oraz łydkę pana Henia, który magazynu pilnował.

Wanda w końcu oddzwoniła.

- Hej, przepraszam, nie mogłam rozmawiać.

- Bałem się, że już nigdy nie oddzwonisz, Wania. Martwiłem się o Ciebie.

- Wojtek – Tak, przynajmniej ona używała mojego prawdziwego imienia.

- No, co tam Wania?

- Ja nie żartowałam. On nie popełnił samobójstwa.

Nie odpowiedziałem. Mówiła już o tym, ale przecież nie mogła mieć pewności.

- Przeszukałam dokładnie pokój taty i nie znalazłam niczego, ale... Dostałam się do jego chmury.

- No i? – nie wytrzymałem

- No i potrzebuję twojej pomocy, ale to nie na telefon. Przyjdź. Na osiemnaste.

Czułem się nieswojo jadąc windą z piątego na osiemnaste piętro. Nie żeby to był jakiś zupełnie inny świat, ten zaczynał się dopiero powyżej setnego, ale wolałbym jechać na czter-naste, do apartamentu Wandy. Osiemnaste było dla mnie zbyt tanatyczne. Nie to, że spodziewałem się kosy pod żebra, zaraz po wyjściu z windy, czy też potoków krwi w całym apartamencie. Wiedziałem, że to porządne piętro, wiedziałem, że serwis sprząający ogarnął wszystko jak należy. Ale obawiałem się, tak po prostu, pozaracjonalnie i pierwotnie się bałem. Zresztą samo przebywanie wśród przedmiotów zmarłego wydawało mi się czymś nie na miejscu, jakbym wstępował na ścieżkę świętokradstwa. Ale nie miałem wyjścia. Sam do Wandy wydzwaniałem, nalegałem, narzucałem się ze swą pomocą jak akwizytor.

Miałem wziąć coś na czil przed wyjściem, ale sprzedawca miał dziś jedynie amterraminę, którą nazywał także terką, przepalaczem styków lub wehikułem czasu. Nie brałem tego gówna nigdy, ale ponoć działało.

- Silny halucynogen – handlarz zachwalał swój towar. – Silny jak sk***ysyn.

I drogi był też jak sk***ysyn. Ale ponoć bił rekordy sprzedaży na wszystkich piętrach Vortexu. Przyczyną jego popularności był chyba specyficzny charakter halucynacji, które powodował. Amterramina potrafiła przenieść swego użytkownika w czasie – i to zarówno w przód jak i w tył – i ponoć nie były to żadne fantasmagorie, ani przywidzenia, tylko najprawdziwsze wizje. Kupiłem więc z ciekawości, ale nie wziąłem. Teraz gdy stałem przed drzwiami pokoju 18710, w którym zmarł ojciec Wandy, namacałem woreczek strunowy z czarną tabletką w kształcie litery „T”. Wziąć na odwagę? Zerknąć lekko w przyszłość? – przeszło mi przez myśl. – Chociaż nóżkę oderwę, rozgryzę... Nie no bez jaj, nie mogłem być naćpany w takiej chwili. Wanda liczyła na moją pomoc, a nie wiadomo, gdzie by mnie ta terka zabrała.

Zapukałem, zadzwoniłem. Spodziewałem się, że widok mojej pogrążonej w żałobie koleżanki z zapuchniętymi od płaczu oczami, z poszarpanymi włosami, w dresie i ogólnej depresji poprzedzi powolne pełne rezygnacji człapanie laczków, rozlegające się niemal przez całą wieczność. Wanda otworzyła

błyskawicznie, jakby stała pod drzwiami czekając na moje przyjsście. Usta miała ściśnięte, oczy świdrujące, a włosy ściągnięte z tyłu gumką.

- Co tak długo? Zresztą nieważne. Wskakuj k**wa, nie mamy czasu – trochę mnie przytknęło, ale szybko zrozumiałem swoją rolę szeregowego żołnierza. Dosłownie szykowała się akcja, a jej zakres był już nakreślony.

Nie wiem do końca, jak to się stało, ale chwilę potem byliśmy zanurzeni w nieprzeniknionych czeluściach oceanu, które pożarły cały nasz świat. Nie czułem się zbyt komfortowo, będąc otoczony Jego mrocznie ocienioną otchłanią, Jego najciemniejszą głębokością, Jego samowładczą oceaniczną żarłoczną sku***syńską mocią. Od tyrana oddzielała nas jedynie cienka ścianka kadłuba z kryszmetal – niezwykle twardego metamateriału, który był całkowicie przezroczysty. W teorii kryszmetalowe ściany statku miały umożliwić załodze swobodną obserwację głębin morskich. W praktyce, jak mi się zdawało, to ocean, dzięki nim, mógł się nam dogłębnie przyglądać. Miałem same najgorsze przecucia z tym związane. Mój niepokój podsycił fakt, że schodziliśmy na zakazaną prawnie głębokość kradzionym batyskafem, a nasz sternik dopiero dwa tygodnie temu rozpoczął dwuletni kurs na nawigatora statków podwodnych i – jak sam przyznawał – nie miał zamiaru go ukończyć.

- Nie przesadzaj, przecież to w zasadzie nie kradzież – mówiła Wanda tuż przed wejściem na pokład. – Przecież odstawimy łódkę na miejsce. Nikt z nas nie ma papierów sternika, więc skąd niby mamy wiedzieć, że nie można schodzić poniżej dwudziestu pięciu metrów? A Janek doprowadzi nas tam i z powrotem. To dobry chłopak.

- Bardziej zastanawia mnie, czy to dobry sternik – odparłem niezdecydowany.

- Znał mojego ojca.

- A czy znał jakiegoś instruktora nawigacji podwodnej?

- Właż do środka i nie marudź.

Wanda weszła w tryb zero jeńców i zero dyskusji. Jeszcze w hotelu powiedziała mi, że jej zdaniem mieszkanie ojca zostało gruntownie przeszukane – i to nie przez policję.

- Kto mógł to zrobić? I po co? – spytałem zdumiony.

- Nie wiem.

- Pytanie czego szukali i czy to znaleźli.

- Wydaje się, że nic nie zginęło. Ale ktoś podpinał się do serwera i nie posprzątał po sobie. Podejrzewam więc, że mogli szukać tego – wskazała na otwarty laptop leżący na stole.

- Twojego zdezelowanego lapka? – palnęła mnie w łeb. Chodziło oczywiście o zdjęcia. Stefan był fotografem. Większość z nich trzymał na swoim serwerze. Ale nie wszystkie. Niektóre trzymał w zaszyfrowanej chmurze, do której Wanda oczywiście się włamała.

- Nie miałam problemu z odgadnięciem haseł, które okazały się różnymi kombinacjami mojego imienia oraz daty narodzin. Poza tym, to żadne włamanie. Zgodnie z prawem te dane należą teraz do mnie.

Prawo Vortexu regulowało to w inny sposób, zwłaszcza gdy chodziło o zdjęcia podwodne, ale po ostatnim palnięciu w łeb, wolałem siedzieć cicho. Potem było już z górki. Ani się obejrzałem, a znalazłem się kilkadziesiąt metrów pod poziomem morza. Nie zdążyłem nawet zaanonsować swojego sprzeciwu wobec ewidentnie samobójczej, pozbawionej sensu misji podwodnej.

Statkiem zatrzęsło, w oczach zamigotało, a w uszach tąpnęło boleśnie jakby ktoś prowadził wykopaliska w uchu środkowym za pomocą dynamitu.

- Janek, ku**a!

- Wszystko pod kontrolą, Wojtku.

- Ja was, ku**a, wszystkich zabiję! – rzuciłem w złości.

Nie wiem czemu, ale sprowokowałem tą uwagą niezwykłą wesołość Janka i Wandy. A przecież nie żartowałem. Byliśmy już grubo poniżej linii dozwolonego prawem zanurzenia. Grubo poniżej zamieszkałych podwodnych pięter wieżowca. Zbliżaliśmy się do piętra minus dwudziestego drugiego. Ostatniego piętra ujętego w oficjalnych planach architektonicznych Vortexu.

- Jest! Widzicie?

- Szczerze mówiąc, gównowidzę – odparłem kwaśno.

- Słabo widać, ale coś tam jest – odparł Janek.

Rzeczywiście. Z każdym metrem coraz wyraźniej widzieliśmy „magiczne” piętro minus dwadzieścia trzy. Piętro, które Wanda odnalazła na zdjęciach ojca.

- No i co? – Wanda z triumfem pchnęła mnie w bark. – Co teraz powiesz, mruku?

- No właśnie. I co? Nic. Piętro jak piętro. Wiemy już, że to prawda, więc spie***lajmy.

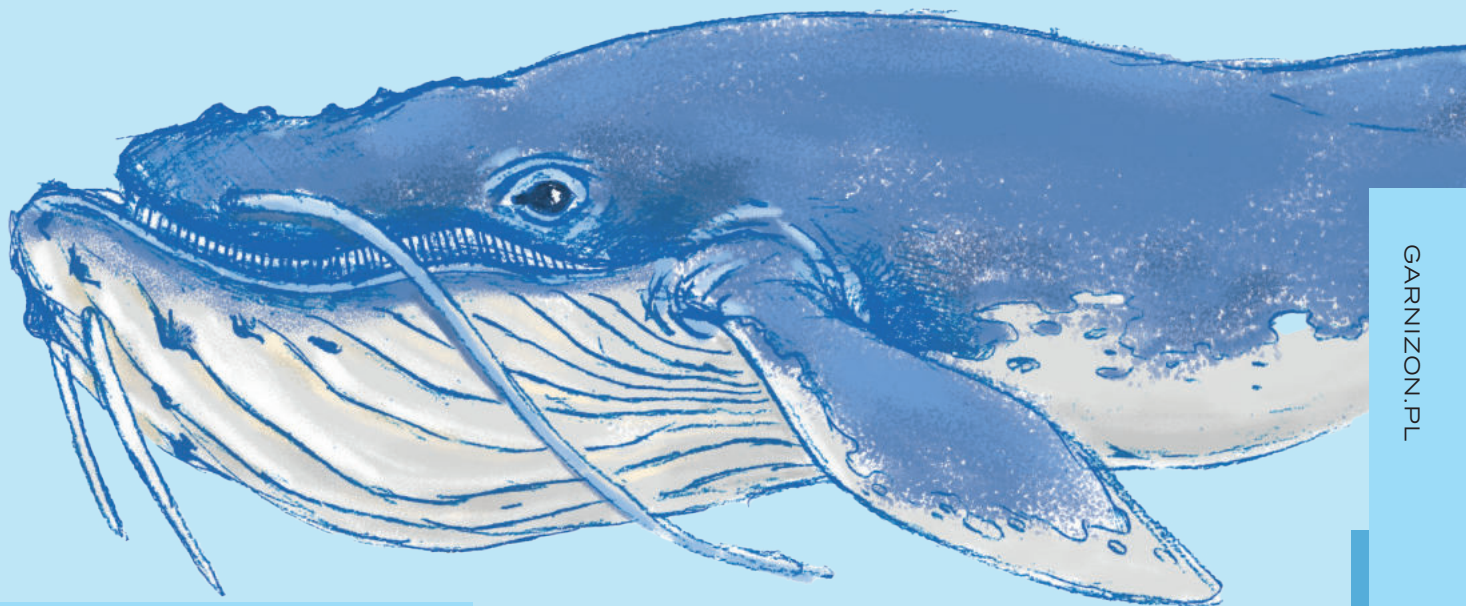
To był ten moment, w którym mogliśmy jeszcze się wycofać. Wrócić do portu, przemknąć do swoich pokojów, łyknąć coś na rozluźnienie, zapić bursztynową nalewką, nakryć się kołdrą i o wszystkim zapomnieć. Wanda tylko wskazała palcem, a batyskaf od razu ruszył nie w tę stronę, co trzeba. Zbliżaliśmy się do kłopotów.

- Setki, tysiące zdjęć z całego oceanu – tłumaczyła mi jeszcze w hotelu – posegregowane pod kątem współrzędnych geograficznych. I tylko jeden folder z napisem „Kryształ”.

Musiałem patrzeć na nią dość głupkowatym wzrokiem, bo w jej oczach zatańczyła wesołość wymieszana ze wściekłością.

- Aha – odrzekłem, nie widząc w tym zupełnie sensu.





- Zastanawiające, prawda Watsonie? Jaki kryształ? Żaden ze znanych nam obszarów oceanu tak się nie nazywa – chyba dla zgrywy teatralnej jebnęła mi mapą przed nosem. – Co więcej, są to zdjęcia zrobione tutaj, mówiąc wprost, podwodne zdjęcia Vortexu.

Takie zdjęcia były rzadkością. Prawo zabroniło fotografowania strategicznej infrastruktury wieżowca ze względów bezpieczeństwa.

- Co więcej... przypatrz się uważnie – Wanda powiększyła zdjęcie o 3091 procent. Obraz był nadal wyraźny.

- Błysk.

- Też to widzisz?

- Tak, ale co błyszczy?

- Kryształ oczywiście – spojrzała na mnie poważnie, po czym oboje wybuchliśmy śmiechem.

Jeszcze wtedy łudziłem się, że to żart. Teraz mieliśmy te okna prosto przed szybą naszego batyskafu. Widmowe piętro istniało, ale nic poza tym. Żadnych ludzi, morskich potworów, syren, podwodnych piratów, oceanicznych wiedźm, a także żadnych magicznych kryształów czy też tajemniczych błysków. Moja sugestia, że to był zwykły flesz, że już wszystko wiemy i możemy wracać, została zbyt milczeniem. Chwilę potem nakładałem piankę i sprzęt do nurkowania.

Wanda wskoczyła pierwsza, dokładnie w tym momencie, gdy w komorze hiperbarycznej zapaliło się zielone światło. Zamknąłem oczy, przeżegnałem się i wpadłem do oceanu.

Ogarnęła mnie bezdeń. Ciemna,

nieprzenikniona otchłań. Od mrocznych odmętów oceanu nie dzieliło mnie już nic. Jego wilgotne macki przedzierały się przez skafander, wpętały w każdą szczelinę ciała. Przekłęta ciecz otaczała mnie z każdej strony, tworząc idealną formę samego mnie. Była chorobliwie ciepła, jakby podgrzana przez gorączkę, która zmiotła świat. Ale musiałem przezwyciężyć złe myśli, gdyż Wanda zbliżała się już do podwodnych fundamentów Vortexu. Zacząłem płynąć w jej stronę. Janek podpływał bastyskafem i świecił reflektorami na wysokości dwudziestego trzeciego piętra poniżej poziomu oceanu. W pewnym momencie podniosłem wzrok, spojrzałem na Wandę dotykającą podwodnej ściany wieżowca i zamarłem.

Miałem przed oczami czarno-białą fotografię. Wanda na tle białej fasady, w okrągłym polu światła. Źrenica w czarnej nieskończoności. Uciekinier złapany przez więzienne reflektory. Promień latarki w nocnym lesie. Ostatnia scena Casablanki. Cień Nosferatu na ścianie. Psychoza. Olbrzymie oko oceanu.

Nie jadłem amterraminy, przysięgam.

Ten widok był jedynym wartościowym zjawiskiem, którego doświadczyłem tego dnia pod wodą. Wandę musiałem niemal siłą ciągnąć do naszej kradzonej łodzi, kiedy poziom mieszanki w butlach niebezpiecznie zbliżał się do zera. Wpłynęła do niej

całkowicie wykończona, trzymając w ręce jakiś bezużyteczny przedmiot, który chwyciła w akcie desperacji. Mieliśmy wracać do domu z niczym.

- Niepotrzebnie... mnie stamtąd... wyciągałeś... – wysapała, ściągając neoprenowy kaptur. Znajdujący się w podłodze właz, oddzielający ocean od naszej komory hiperbarycznej, zaczął się automatycznie zamykać.

- Pływanie z pustą butlą nie jest najprzyjemniejsze. Tego chyba uczą w pierwszej klasie – powiedziałem z ironią i lekkim zdenerwowaniem. Byliśmy pod wodą niemal godzinę. W butlach nie było już chyba nawet jednego oddechu.

- Nic nie znaleźliśmy. Równie dobrze mogłabym tam, ku**a, utonąć.

- No nie, no bez przesady. Nie jest tak źle. Żyjemy. Nie natknęliśmy się na żadną straż podwodną. Janek nie rozbił łajby. Jeszcze. Poza tym znalazłaś jakiś odłamek rury czy czegoś, który wniesiemy do Vortexu jak trofeum wojenne. Albo... już wiem! Sprzedamy to za grube miliony i kupimy sobie rośliny. Nie ten elektryczny szajs, który produkują u nas w firmie, ale prawdziwe życiodajne rośliny, w prawdziwej ziemi! Wyobrażasz to sobie?

- Przestań. Robisz se jaja, a mi się wali świat – odrzuciła ze złością gumową pletwę, którą

zdjęła z buta. – Życie jak zwykle wywraca mnie do góry nogami. Za każdym razem spadam coraz niżej, coraz głębiej, coraz większa bezdeń, ku**a...

Janek rozpoczął powolny proces wynurzania bastyskafu, po czym ogarnął butle z tlenem i automaty nurkowe. Ja uwolniłem się ze skafandra i zacząłem zbierać nasze akcesoria, żeby odłożyć je na miejsce. Wanda w tym czasie przeklinała cały Vortex, ocean i ostatnie masywy skalne, które z niego wystawały.

- Dramatyzujesz – przerwałem jej wreszcie. – Mogło być znacznie gorzej. Mogliśmy wpaść na pole minowe, mogły nas zaatakować kałamarnice i węże morskie, aquaterrorysty mogli nas ostrzelać z psionicznych dział, mógł nas połknąć kraken, mogliśmy natknąć się na radioaktywny plankton, ławice zmutowanych parzydełkowców mogły nas...

- Daj mi spokój człowieku! – rzuciła we mnie latarką i zaczęła się śmiać. Mokre ciemne włosy spływały jej na ramiona.

- Dobra. Masz rację. Niczego nie wymyślimy – zaczęła walczyć ze skafandrem. – Pomóż mi zdjąć z siebie to gówno. Wracamy. Muszę się urządnąć.

Trzeba przyznać, że ponoszę w pewnej mierze odpowiedzialność, za to, co się później wydarzyło. Wylądowaliśmy bowiem w Kaszalocie, jednym z wielu lokali, znajdujących się w północnej części trzynastego piętra. Był to obskurny, ale porządny pub z dobrą muzyką i w miarę tanimi drinkami. W wystroju dominowały artefakty wielorybiczne i zakurzone, spreparowane zwłoki ryb – w szczególności rozdymek – oraz ciężkie drewniane stoły, na których można było z powodzeniem tańczyć. Nazwa pubu wzięła się od „najcenniejszego” eksponatu – olbrzymiego spreparowanego suma, podwieszonego pod sufitem zamiast kuli dyskotekowej, którego wszyscy, chyba dla żartów, uznawali za wieloryba. Znałem tu chyba wszystkie barmanki, kojarzyłem wielu stałych bywalców i zawsze znajdowałem kompanów do picia i dysputy. Tłum powoli gęstniał, muzyka grała coraz głośniej. Wanda upijała się na smutno przy barze, w towarzystwie Janka i jakiejś znajomej. Janka zainteresował znaleziony pod wodą przedmiot i obiecał poddać go gruntownej obserwacji – jak twierdził, miał za sobą nieukończony, ale prestiżowy weekendowy kurs elektryczny.

Nie miałem siły się z nim sprzeczać. W sumie nic mnie to nie obchodziło. Zresztą szybko wpadłem w kaszalotowy wir towarzyski. Pamiętam, że stałem w palarni – palarni tak typowej dla trzynastego piętra Vortexu, imitującej niegdysiejszy świat zewnętrzny. W Kaszalocie była to klasyczna ulica z rzędem fikcyjnych kamienic, wentylatorami i nadmuchami, które miały imitować świeże powietrze. Stałem, paliłem i dyskutowałem. W pewnym momencie kątem oka zobaczyłem Wandę. Weszła do palarni w mojej kurtce, którą zostawiłem przy barze. Zobaczyłem, jak wyciąga z tej kurtki plastikowy woreczek. Wyjmuje z niego czarną jak smoła pigułę w kształcie literki T i kładzie ją sobie na język tak, jakby przyjmowała pierwszą komunię.

- Ja pie**olę... – dopiero wtedy zorientowałem się z przerażeniem, że zjadła całą porcję przepalacza styków.

- I jak? Czujesz coś?

- Zajebicie gorzkie, obrzydliwe, jakbym rozgryzła nieumytego małża.

- Wiesz w ogóle, co to było?

- Nie wiem – zarzuciła mi ręce na szyję i uśmiechnęła się. Nie byłem zbyt zadowolony. Odepchnąłem jej ręce. Byłem wstawiony, więc zacząłem się mądrować i robić wykład o halucynogenach oraz wehikułach czasu. Jej oczy patrzyły na mnie i mówiły coś w stylu: „co za skończony świr”. Zostawiła mi kurtkę i ruszyła w stronę baru, skąd dochodziła muzyka i odgłosy bawiących się ludzi.

Otworzyłam drzwi i dosłownie weszłam w muzykę, tak jakbym wchodziła w gęsty kisiel. Jakbym przekroczyła wrota do innego świata. Zanurzyłam się w tej atmosferze dogłębnie, jakbym spadła na dno Rowu Mariańskiego. Muzyka była batyskafem, czułam ją całym ciałem, wdychałam ją, jakby była parą wodną, oblepiała mnie, jakby była oceanem. Płynęłam. Ocean upominał się o swoją własność. Trzymałam w rękach fragment podwodnych fundamentów Vortexu. Błysnęła w mych dłoniach jak księżyc lub supernova. Poczulałam, że trzeba koniecznie go zwrócić. Na szczęście byłam blisko, byłam już w zasadzie na miejscu, na minus 23 piętrze, położonym kilkadziesiąt metrów poniżej poziomu oceanu. Tylko że teraz wszystko było inne. Kryszbetonowe wsporniki zniknęły, odkrywając lekką, jasną fasadę z linią szerokich okien, które mogłyby być szklane, gdyby nie to, że żadne szkło nie wytrzymałoby takich naprężeń. Ale nad poziomem minus 23 nie było już piętra minus 22, ani 21, ani 20 ani żadnych kolejnych pięter. Cały Vortex zniknął. Był tylko wolnostojący kubiczny budynek, a na nim neony: „kawiarnia”, „bar” i umieszczony na dachu „Cristal”. Chciałam wpłynąć do środka, ale okazało się, że stoję na twardym betonowym chodniku. Ocean zniknął. Neony oświetlały nocną przestrzeń najprawdziwszego miasta. Byłam zauroczona i oszołomiona. Nagle ktoś chwycił mnie za rękę i wciągnął do środka.

Weszliśmy. Szatnia. W środku szatniarz. Naprzeciwko jakieś podejrzanе typki – „Cinkciarze” szepcze mi do ucha mój tajemniczy przewodnik. „Interes się kręci, ruch potężny” – rzuca ktoś z obsługi. „Zawsze tak jest. Mawiają, że gdy w porcie dużo statków, w Cristalu dużo bojków” – tłumaczy mój opiekun. Nic z tego nie rozumiem. Idziemy dalej. Głośna muzyka. To gra orkiestra. Prawdziwy zespół z żywymi instrumentami. Krzyki, śmiechy, powietrze gęste od dymu papierosowego. Cinkciarze krążą wśród stolików, biegają między bojkami i paniami do towarzystwa. Ktoś rzuca hasło, że kible w Cristalu zmieniły się w kantory wymiany walut. Toasty, wódka i wino w kieliszkach. Marynarze, papierosy i zagraniczna gotówka. Kobiety, zniewolone

kobiety. Obrzydliwa giełda seksu. Orkiestra łupie „Hasta manana, Rebeca, hasta manana!”. Na nasz widok jakiś facet podnosi się znad stolika i wita się serdecznie, po czym rzuca, że „jeśli to «manana» ma znaczenie południowoamerykańskie — to na kelnera poczekamy sobie do jutra”. Mój cicerone zdradza mi, że to nikt inny jak Lech Niekrasz, znany dziennikarz, który być może opisze ten wieczór w jednym ze swych felietonów. Po chwili odgradzają nas od niego gęste obłoki unoszącego się wszędzie dymu. Wszędzie bojki, tj. zagraniczni marynarze, tlenione blondynki, cinkciarze, wymiana dewiz, alkohol, papierosy i rozpusta. „Jest marzec 1968 roku” – szepcze mi do ucha mój Wergiliusz – „W Cristalu wciąż trwa karnawał. A poza Cristalem?”. Milczenie. „Trwa marzec”. Wszyscy pogrążeni w zaklętym tańcu, śmieją się i wirują. „Apogeu marca”. Danse Macabre. Wychodzimy. Czuję, jakby ktoś włączył przewijanie do tyłu, sceny powtarzają się, przeskakują, te same ujęcia, odwrócone gesty. „Przez sto lat nic się nie zmienia”. „A poza tym, w Cristalu jest piwnica”. Świat zawirował i rozmył się i nagle wszystko stało się jasne.

- Wojtek, ku**a! Wszystko jasne – obudziła się w nieznanym łóżku, ale niestety nie zwracała na to uwagi. – My się tu bawimy, a w Vortexie dzieją się bardzo złe rzeczy. Czystki, kłamstwa, nagonki, ch** wie co jeszcze. A poziom minus 23 nie jest ostatnim, jest jeszcze... – chyba dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że siedzę przed nią z zakneblowanymi ustami.

- Jest jeszcze piwnica oczywiście. Twój ojciec również odkrył tę prawdę, choć muszę przyznać, że w nieco bardziej wyrafinowany sposób. Nie musiał kraść łodzi podwodnej i wcierać sobie w dziąsła amterraminy – powiedziała zakapturzona postać, skryta pod przeciwną ścianą pokoju.

- Co jest w piwnicy?

- Największa tajemnica najwyższych pięter wszystkich pozostałych na świecie drapaczy chmur. Pod poziomem minus 23 znajduje się podwodny dworzec. Podwodna kolej żelazna, którą można dojechać na wciąż niezalane, znajdujące się wysoko w górach zielone tereny, gdzie pasą się owce, gdzie rośnie zboże i gdzie warzy się prawdziwe piwo. Raj dla garstki uprzywilejowanych, utrzymywany przez całą resztę – nieświadomych niewolników.

- Bardzo ciekawe – skwitowała ironicznie. – A mówisz mi to, ponieważ?

- Ponieważ zamierzam wysadzić wszystkich tych sk***ieli w powietrze.

- Razem z całym Vortexem. Doprawdy genialny pomysł.

- Ładunki zostały umieszczone w pociągach. Eksplozję można uruchomić radiowo, kiedy znajdą się daleko stąd.

- Niezbyt to przekonujące. Poza tym dalej nie rozumiem, po co mi to mówisz.

- Zabraliście z 23 piętra radiowy zapalnik, bez którego detonacja jest niemożliwa. Uprzejmie proszę o jego zwrot.

- Cóż, obawiam się, że przeceniłeś naszą przenikliwość. Sprzedaliśmy twoje ustrojstwo za dwa browary jakiemuś naiwniakowi w Kaszalicie.

W tym samym czasie Janek odkreślił śrubkę od zapalnika, zdjął pokrywę i wcisnął zielony guzik.

Na najwyższym sto trzydziestym piętrze wieżowca, w salonie wypełnionym nieprzyzwoicie urodzajną i różnorodną roślinnością, duchessa z dezaprobatą spojrzała na swoją porcelanową filiżankę. Zamiast gładkiej tafli kawy zobaczyła nieprzyjemne drgania, które całkowicie zaburzały poczucie jej estetyki i dobrego smaku. Machnęła na lokaja i władczy, kościsty palcem wskazała na wibrującą filiżankę kawy.

- Natychmiast powiadomcie dyrekcję o tym uwłaczającym incydencie.

Kiedy skończyła mówić, ocean zmiotł duchessę wraz ze wskazującym palcem, filiżanką kawy oraz całym piętrem wieżowca. Vortex zapadał się pod ocean, jakby był zrobiony z oranżady w proszku.

Jakimś cudem chyba przeżyłam, bo płynęłam na drewnianej tratwie wielkości sporego stołu. Leżałam, nie mając siły się podnieść, ale nie byłam sama. Ktoś był tam ze mną i tańczył. Raczej nie Wojtek. Tańczył na tratwie, dziko i bez opamiętania, jakby tańczył na grobach swych wrogów. Budziłam się. Muzyka grała. Taniec trwał, a nade mną wirował olbrzymi sum przypominający wieloryba.



TYMOTEUSZ SKIBA

Niezależny szulzolog, niespełniony koszykarz i niedoszły zawodnik StarCrafta. Falszywy wieszcz muzycznego kolektywu sepr.online. Doktor nauk humanistycznych zakochany w science fiction i podwójnej hawajskiej. Najsynniejszy bard Jasienia, Kokoszek i Szadótek, znienawidzony na Stogach i Biskupiej Górze. Od wielu lat związany z CSW ŁAŻNIA w Gdańsku. Publikował opowiadania w „Schulz/Forum”, „Blizie”, „Czasie Kultury”, „Stronie Czynnej”, „Drobiazgach”, „Tlenie Literackim” i „Bravo Girl”. W 2020 roku wyróżniony w II Ogólnopolskim Konkursie na Książkę Literacką Nowy Dokument Tekstowy w kategorii epika. Autor najgorzej sprzedającej się książki w historii Szadótek pt. Worstseller (Słowa na Wybiegu).

PROF. MICHAŁ JAŚKIEWICZ: WIELOKULTUROWOŚĆ ZAWSZE BYŁA BOGACTWEM GDAŃSKA



MIASTO DOBRZE NASTROJONE

MIASTO TWORZĄ LUDZIE, A JAKI WPŁYW MA MIASTO NA JEDNOSTKĘ? JAKA JEST CHARAKTERYSTYKA GDAŃSKA NA TLE INNYCH MIAST? W NASZYM CYKLU „MIASTO DOBRZE NASTROJONE” ODDAJEMY GŁOS PSYCHOLOGII MIASTA, A KONKRETNIE PROFESOROWI MICHAŁOWI JAŚKIEWICZOWI Z INSTYTUTU PSYCHOLOGII NA UNIWERSYTECIE GDAŃSKIM.

PAWEŁ DURKIEWICZ: Jak pokrótce scharakteryzować dyscyplinę naukową pt. psychologia miasta?

PROF. MICHAŁ JAŚKIEWICZ: Psychologia miasta stanowi gałąź psychologii środowiskowej, która z kolei jest częścią psychologii społecznej. Bada sposób, w jaki przestrzeń miejska wpływa na interakcje społeczne czy dobrostan ludzi. Jest to szybko rozwijająca się dziedzina, która w ostatnich latach mocno skorzystała na pojawieniu się nowych rozwiązań technologicznych. Umożliwiają one obiektywną analizę uwarunkowań środowiskowych, takich jak np. ruch pieszy. Do niedawna badania w tym zakresie opierane były na indywidualnych deklaracjach respondentów, natomiast teraz dzięki nowym narzędziom, w tym aplikacjom, możemy precyzyjnie mapować całe sieci ulic, chodników, placów itp. z uwzględnieniem obecności pieszych. Niejako równocześnie badanie wpływu charakterystyki miasta na psychikę ludzi stały się bardziej interdyscyplinarne. Psychologowie współpracują z geografami społecznymi czy

urbanistami, koncentrując się oczywiście na jednostce i subiektywnych miarach: emocjach, afekcie, a także poczuciu szczęścia i ocenach własnych relacji społecznych.

PD: No właśnie – co pewien czas w mediach pojawiają się rankingi jakości życia w miastach. Czy obserwacje psychologów miasta potwierdzają to, co się w nich pojawia?

MJ: Wszystko zależy od tego, jakie kryteria są używane do klasyfikowania miast. Należy oczywiście spoglądać na to krytycznie. Wydaje się jednak, że wnioski są powtarzalne i nie jest przypadkiem, że na szczycie, bądź w ścisłej czołówce tych zestawień regularnie pojawia się np. Wiedeń. Oczywiście ranking jest tym bardziej wartościowy, im szersze są kryteria oceny. Poza urbanistyką i tym, jak kształtuje się przestrzeń miejska, ważną rolę dla jakości życia pełnią także choćby warunki makroekonomiczne, różnice w dochodach czy dostępność mieszkań. Badania pokazują, że nierówności społeczne mają charakter

przestrzenny, tj. osoby o niższym statusie społeczno-ekonomicznym są zmuszone do osiedlania się na suburbiach, oddalonych od centrum. W efekcie często wydają na dojazdy nawet 20-30 proc. swoich dochodów, nie wspominając już o poświęconym na nie czasie. Ma to ogromny wpływ na pogorszenie jakości życia, bo cierpią na tym choćby relacje społeczne, na które zwyczajnie brakuje godzin w planie dnia czy tygodnia. Dość dużym echem odbiły się badania amerykańskich przedmieść, gdzie zaobserwowano, że rozwój młodocianych gangów wynika w dużej mierze z faktu, że dzieci i młodzież są pozostawiane same sobie przez rodziców, którzy tkwią w korkach.

PD: Jakość życia i poczucie szczęścia – to dwa tożsame pojęcia czy należy badać je oddzielnie?

MJ: Od wielu lat w środowisku psychologów trwa dyskusja o relacji tych dwóch pojęć. Z perspektywy badań jakość życia i poczucie szczęścia są ze sobą skorelowane, natomiast ten drugi koncept dotyczy bardziej subiektywnej, osobistej oceny. Mierzenie jakości życia ma z kolei zwykle charakter kontekstowy. Odnosi się do warunków życia danej jednostki i opisuje np., na ile ma możliwość zaspokojenia swoich potrzeb w najbliższym otoczeniu. Zakłada się, że ma to przełożenie na przeżywanie przez osobę określonych stanów emocjonalnych – pozytywnych bądź negatywnych. Podobnie z możliwościami samorealizacji, jakie stwarza – bądź nie stwarza – przestrzeń miejska.



PD: Jak do tego mają się konteksty kulturowe? Od razu na myśl przychodzi mi porównanie wspomnianego idyllicznego Wiednia z miastami Azji Południowo-Wschodniej, gdzie w zasadzie żadne kryterium pojmowanej przez nas jakości życia nie wypada dobrze, a mimo to zapewne również żyją tam jacyś szczęśliwi ludzie.

MJ: Konteksty kulturowe oczywiście mają tutaj znaczenie, chociażby w aspekcie tzw. szczęścia współzależnego, które w kulturach dalekiego wschodu ma większe znaczenie i sprawia, że ludzie w większym stopniu pomijają swoje egoistycznie pojmowane szczęście.

Jednak czynniki obiektywne, uniwersalne, są nie do pominięcia. Nie uciekniemy od faktu, że miasta Globalnego Południa mają i będą miały coraz większe problemy z nierównościami i konsekwencjami globalnego ocieplenia. Na dodatek oba te zjawiska nakładają się na siebie. Bieda, zanieczyszczenie środowiska, wysokie temperatury, trudności komunikacyjne – to wszystko sprawia, że szereg miast wykazywać będzie tak niską jakość życia, że już niebawem staną się niemal niemożliwe do zamieszkania, bez względu na niuanse kulturowe.

PD: Pomówmy o naszym Gdańsku – mieście z burzliwą historią, a przez to złożoną tożsamością. Jak na nas, mieszkańców, wpływa choćby fakt, że jeszcze sto lat temu dominował tu inny naród?

MJ: To ciekawy wątek, który można rozwinąć na dwa sposoby. Pierwszy: badania prof. Marii Lewickiej wykazały, że mieszkańcy miast z pamięcią wielokulturowej przeszłości, prezentują szczególny rodzaj postaw. Dotyczy to zwłaszcza tolerancji wobec odmienności oraz otwartości na imigrantów i uchodźców wywodzących się z innych kultur. To ważne w kontekście wydarzeń, których jesteśmy świadkami. Czas jednolitych etnicznie miast dobiega końca i należałoby zadać sobie pytanie, jak poradzimy sobie z tym jako społeczeństwo. Doświadczamy obecnie fali uchodźców z ogarniętej wojną Ukrainy, a do tego można przewidywać, że jesteśmy w przededniu jeszcze większej fali imigracji z części świata dotkniętych kryzysem klimatycznym. Można stąd wysnuć wniosek, że Gdańsk będzie przygotowany do tego lepiej niż inne miasta. To jeden aspekt. Drugi to indywidualne, subiektywne postrzeganie historii. W ostatnich latach ukazało się na ten temat sporo ciekawych badań. Mimo że Gdańsk ma za sobą złożoną historię i co najmniej kilkakrotnie mocno zmieniał swoją strukturę społeczno-etniczną, okazuje się, że duża część mieszkańców wyciąga z tej historii coś w rodzaju nieprzerwanej esencji, czyli zbioru wartości i postaw, które przetrwały różne próby czasu.

PD: Gdańsk od zawsze miastem wolności?

MJ: Wolności, otwartości, odwagi, tolerancji. Prowadziliśmy te badania niedługo po śmierci prezydenta Pawła Adamowicza. Okazało się zresztą, że osoby, które doszukiwały się w historii Gdańska tych niezmiennych wartości, popierały też elementy progresywnej polityki, które wprowadzał zamordowany prezydent. Doszliśmy do wniosku, że istnieje coś w rodzaju „gdańskości”, czyli zespołu cech wywodzących się z tradycji miasta portowego, z natury otwartego na nowe idee.

PD: Jakie inne cechy wyróżniają Gdańsk na tle pozostałych polskich miast? Gdy przyjeżdżają tu ludzie z innych dużych miast, mówią o lepszym powietrzu i klimacie, a jednocześnie mniejszym pośpiechu na ulicach.





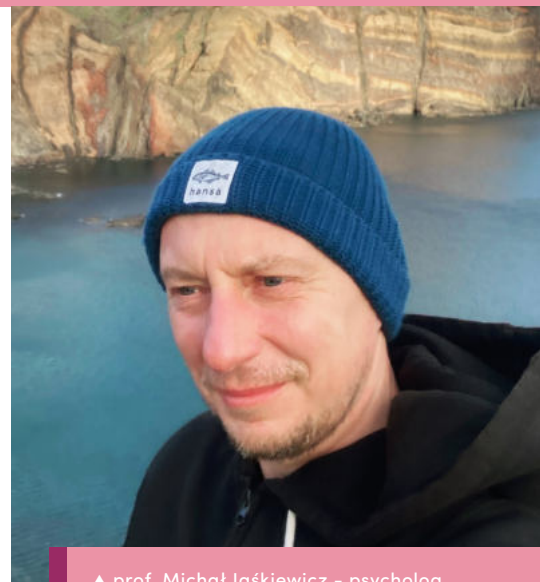
▲ Wiedeń regularnie plasuje się w czołówce rankingów miast o najwyższej jakości życia.

MJ: W omawianych przez nas rankingach jakości życia całe Trójmiasto regularnie zajmuje wysokie pozycje. Z różnych względów. Ze swoimi studentami próbowaliśmy swego czasu porównywać miasta pod względem trudów codziennego życia. I rzeczywiście, da się u nas odczuć większą

tendencję do „slow life”, czyli zmniejszania tempa życia. Tu również można doszukiwać się pewnej progresywności Gdańska w stosunku do innych miast. W bardziej rozwiniętych krajach świata widać już tendencję do powolnej zmiany modelu ekonomicznego, a więc skracania czasu pracy, większego nacisku na work-life balance i odchodzenia od wiary w nieustanny wzrost ekonomiczny oparty na spalaniu paliw kopalnych. W tym kontekście możemy traktować nasze wolniejsze tempo życia jako atut.

Jest też inny wyróżnik. Coś, co często sobie chwalimy, czyli obecność Zatoki Gdańskiej z jednej strony i zalesionych wzgórz morenowych z drugiej, jest też w pewnym sensie ułomnością Gdańska. Miasto nie mogło bowiem rozwijać się na planie koncentrycznym. Aglomeracja jest ściśnięta, a historyczne śródmieście jest daleko od geometrycznego środka. Z perspektywy psychologii miasta i badaczy jakości życia jest to poważne

ograniczenie, ponieważ w miarę rozrastania się miasta, powiększają się dystanse do pokonywania. A wspomnieliśmy już, że wpływa to jednoznacznie negatywnie na postrzeganą jakość życia. To poważne wyzwanie. Sporo mówi się dziś o miastach 15-minutowych czy policentrycznych. Gdańsk powinien mieć więc więcej obszarów skupiających różne funkcje i odpowiadających na różne potrzeby. Nie tylko Śródmieście, ale też Oliwa, Przymorze, czy Wrzeszcz i Garnizon.



▲ prof. Michał Jaśkiewicz – psycholog społeczny z Uniwersytetu Gdańskiego, adiunkt w Zakładzie Psychologii Osobowości i Psychologii Sądowej. Specjalizuje się w psychologii środowiskowej i badaniu jakości życia.

WRZESZCZ – OBRAZKI NIE GDYŚLE JSZĘ I DZISIEJSZE

▲ Fot. Jarosław Wasielewski

ZANIM WE WRZESZCZU STAŁEM SIĘ MIEJSCOWYM, BYŁEM PRZYJEZDNYM, A DOKŁADNIEJ PRZEJEZDNYM.

Z SKM-ki przesiadałem się na tramwaj, na szóstym przystanku w kierunku Oliwy był uniwersytet w całej okazałości, czyli patrząc w stronę morza: po lewej moja „humana”, a po prawej „mat-fiz”. Na UG spędzało się całe dnie z przerwą o 13.20, podczas której i tak nie można się było dopchać do lady barku. W środy zajęcia kończyliśmy późnym wieczorem w największej auli, w której odbywały się pokazy DKF. Oglądaliśmy Bergmana, Felliniego, Kubricka, Formana, Tarkowskiego, Zanusiego, Wajdę i innych Wielkich... Czasami to nawet Konfrontacje mogły się schować, ale i na nich, po ciężkich bojach o karnety, bywaliśmy. Najczęściej w gdańskim „Leningradzie”, a jak się nie udało to w sopockiej „Polonii” lub gdyńskiej „Warszawie”.

Generalnie kina z perspektywy Wrzeszcza to bardzo pojemny temat. „Znicz” i „Zawisza” usytuowane na terenie dzisiejszego Garnizonu, od strony Oliwy „Tramwajarz” oraz „Bajka” przy Jaśkowej Dolinie. Przed każdym kinem oraz w bramie przy poczcie na Grunwaldzkiej znajdowały się centra wystawiennicze, czyli kadry z filmów na kolorowych fotografiach. Odpowiedniki dzisiejszych zwiastunów pozostawiały zdecydowanie więcej miejsca na wyobraźnię.

No i jeszcze niezapomniany, zmarły przed 15 laty Jacek Łaszcz, prelegent, który filmy zajmował, czy to podczas naszych akademickich projekcji czy pokazów kinowych. Wiedza, erudycja i magia opowieści. Można było nabyć niezwyklej dziś i zapomnianej już umiejętności słuchania...

Miejsca we Wrzeszczu także były inne, inaczej też się nazywały. Galeria Bałtycka to były Zakłady Przemysłu Cukierniczego

Bałtyk. Zapach karmelków uzależniał, a w drewnianym kiosku przy Grunwaldzkiej można było zaopatrzyć się w tzw. cukierki twarde, czyli wspomniane karmelki, landrynki oraz irysy, zwane „mordoklejkami”. Z tyłu znajdował się firmowy sklep Spółdzielni Mleczarskiej Maćkowy, który wprowadzał w poezję smaku serka homogenizowanego waniliowego.

Zapachy z miejsca dzisiejszej Galerii Bałtyckiej przebiły jednak pączki sprzedawane w tłusty czwartek w małym sklepiku u stóp Pedetu „Neptun”. Pączki, które firmowali swym nazwiskiem Kowalscy, należały z pewnością do największych w Trójmieście. 500 kalorii sztuka, ale warto było odstać nawet godzinę.

Po tej samej stronie ulicy znajdowały się też najsłynniejsze wrzeszczańskie restauracje - Cristal i Newska. Naprzeciw mieliśmy „Olimp” i „Pod kominkiem”, nad którym w 1989 roku swoją pierwszą siedzibę miała „Gazeta Morska”, lokalny dodatek „Gazety Wyborczej”. Obok, po obu stronach ulicy, znajdowały się Peweksy, jeden na parterze Olimpu, drugi nad Newską. Gumy Donalda z historyjkami po 30 centów, czekolada i kawa po 50, butelka polskiej wódki około dolara. Za wranglery trzeba było zapłacić 10. Mało kto miał dolary, ale w szarej strefie można było wejść w posiadanie tzw. bonów. Nie było kart bankomatowych i inflacji. Nikt nie słyszał o internecie, a aparaty telefoniczne w budkach działały wyłącznie na monety. Choć z tym „działaniem”, to też lekka przesada...

Dusza tamtego Wrzeszcza okazała się śmiertelna. Dożyła lat 90-tych. Ale sentymenty to dobra sprawa.

Kraj lat dziecińczych, dla mnie studenckich, powtarzając za wieszczem, jest fajny, bo młodszy o 30 lat. Z drugiej strony nie sposób zapomnieć kolejki elektrycznej, która wjeżdżała na tor bez peronu i pociągów dalekobieżnych, w których z powodu tłoku podróżowało się nierzadko w toaletach. Zabytkowe dziś tramwaje, wówczas „nówki nieśmigane”, jeździły z otwartymi drzwiami, bo te nie zawsze

się zasuwały, a rozkłady jazdy istniały tylko w dokumentach. Pomarańcze i banany były, jak przypłynął statek z Kuby, czyli na Boże Narodzenie. Do tego kartki, talony i książeczki mieszkaniowe, na które brakowało pokrycia w... mieszkaniach. To może niech Wrzeszcz zostanie takim, jakim oglądamy go dziś, bo jednak Manhattan robi lepsze wrażenie niż stojące wtedy w tym samym miejscu stragany, kontenerowe żabki, drewniane lady, a nawet kioski z butami, odzieżą i delikatesami spożywczymi przywożonymi przez marynarzy. Klimatyczne knajpki, klimatyzowane sale kinowe z dobrym obrazem i dźwiękiem, zagraniczna odzież, która jednostkowo nie kosztuje tyle, co średnia pensja (a tak było np. ze wspomnianymi wranglery) to jednak lepszy wybór. Tym bardziej, że Garnizon, Browar i Zajezdnia nawiązują do miejsc, którymi były kiedyś. Studentom można pozazdrościć kampusu ciągnącego się od Abrahama po Olivia Center, a jak komuś marzą się stylowe pałacyki, to na Jaśkowej Dolinie znajdzie coś dla siebie. Jak jeszcze Lechia spadnie z ekstraklasy, to może na 1. ligę będziemy znowu chodzić na Traugutta 29.



WŁODZIMIERZ MACHNIKOWSKI

Pseudonim „Basior”, legenda trójmiejskiego radia, wieloletni szef redakcji sportowej w Radiu Gdańsk, współtwórca (razem z Dariuszem Podbereskim) kultowego cyklu koncertów „Muzyczne wędrówki Łosia i Basiora”.

POP

CONCEPT
store

NOWI MÓWIĄ „Cześć!”



▲ fot. materiały prasowe POP Concept Store

WIOSNA JAK ZWYKLE PRZYNOŚI NAM W GARNIZONIE SPORO NOWINEK I NOWALIJEK. PRZYJRZYMY SIĘ ZATEM, CO CIEKAWEGO OTWORZYŁO LUB OTWIERA SIĘ W NASZYM SĄSIEDZTWIE.

Zacznijmy nietypowo, bo od przewodniczki. **Mood Concept Store**, znany nam już butik z designerskimi artykułami dla dzieci i rodziców, przeniósł się do przestronnego lokalu w VII kwartale, czyli nowiutkiej części Garnizonu. Znajdziemy go przy Norwida 6, naprzeciwko restauracji i kawiarni Enklava.

W lokalu „zwolnionym” przez Mood, przy ul. Leśmiana 11, zadamował się już z kolei **Pop Concept Store**, sklep z wyselekcjonowanymi polskimi markami z obszaru mody i designu. Lokal, zapewniający gościom wybór jakościowych produktów dostępnych na miejscu, służyć ma również jako miejsce spotkań i kameralnych wydarzeń.

Również w tej okolicy, bo przy ul. Leśmiana 5, otworzyły się dwa kolejne koncepty. **Omega Deco** to showroom z szeroką

ofertą zasłon, żaluzji, tapet i dywanów. Warto zatem odwiedzić to miejsce, gdy szukamy dobrych pomysłów na design mieszkania czy biura. Tuż obok swoje podwoje otworzył niejaki Duży Ben. Za tą malowniczą nazwą kryje się nieprzeciętnie zaopatrzonej market alkoholowy.

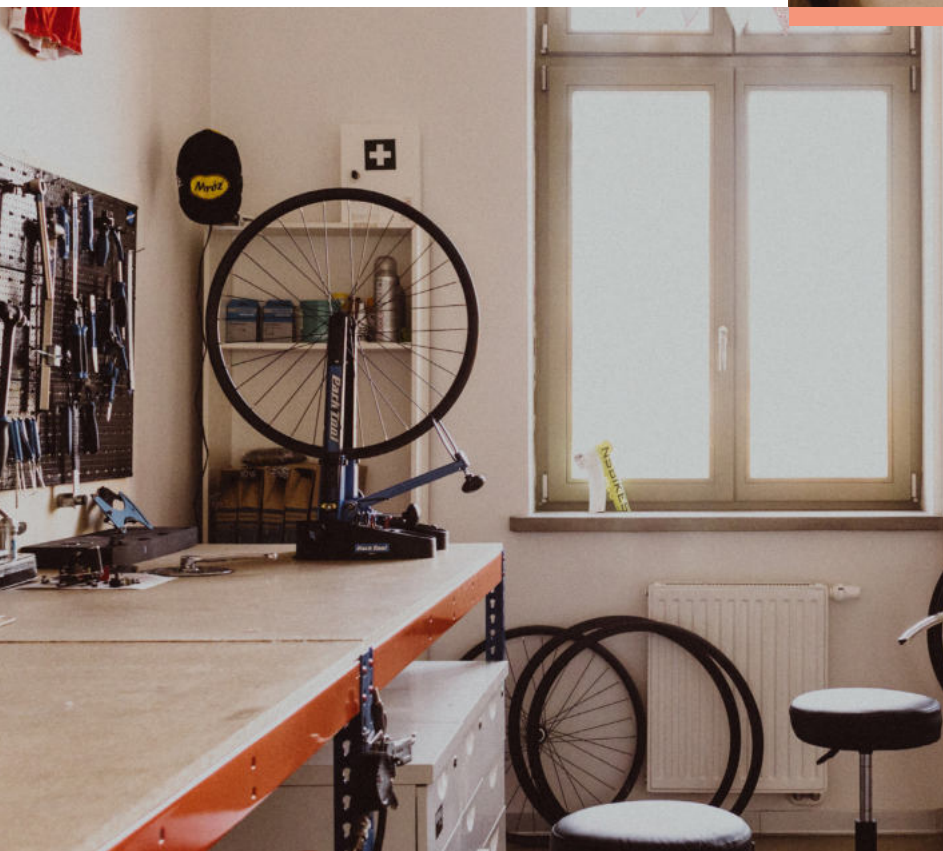
Przy ulicy Szymanowskiego 20 działalność rozpoczął ośrodek chirurgii plastycznej **Blask**. Spotkamy tu wielopokoleniowy zespół chirurgów, łączący „wiedzę, bezcenne doświadczenie, entuzjazm, świeże spojrzenie i nowe pomysły”, by skutecznie pomagać każdej osobie, która z jakichś powodów potrzebuje pomocy profesjonalistów.

Amatorzy jazdy na rowerze powinni zainteresować się nowym lokalem w zabytkowym budynku Sztuki Wyboru przy ul. Słowackiego

19. Od niedawna działa tu **Velodom**, serwis rowerowy, oferujący naprawy, pielęgnację, mycie, a także zakup rozmaitych części wymiennych czy akcesoriów. Na miejscu możemy oczywiście liczyć również na fachowe porady i wskazówki.

Swoją uwagę kierujemy ponownie na VII kwartał, czyli najmłodszą część Garnizonu. Już w maju przy ulicy Norwida otworzą się kolejne lokale: kwaciarnia **Doris** oraz cukiernia **Kaiser Patisserie**. Z kolei przy ul. Hemara 11 działalność rozpoczyna salon **Origami Design**, oferujący kompleksowe wyposażenie wnętrz.

Warto zresztą uwzględnić tę okolice podczas codziennych spacerów. W najbliższych miesiącach dojdzie tu do następnych intrygujących debiutów – zarówno gastronomicznych, designerskich, jak i kosmetyczno-pięknościowych! Będziemy na bieżąco informować o nich na naszym profilu facebookowym, jak również w garnizonowym newsletterze. Jesteśmy w kontakcie!



Velodom to miejsce stworzone przez ludzi, dla których rower to pasja.
▲ ▼ fot. Alka Murat

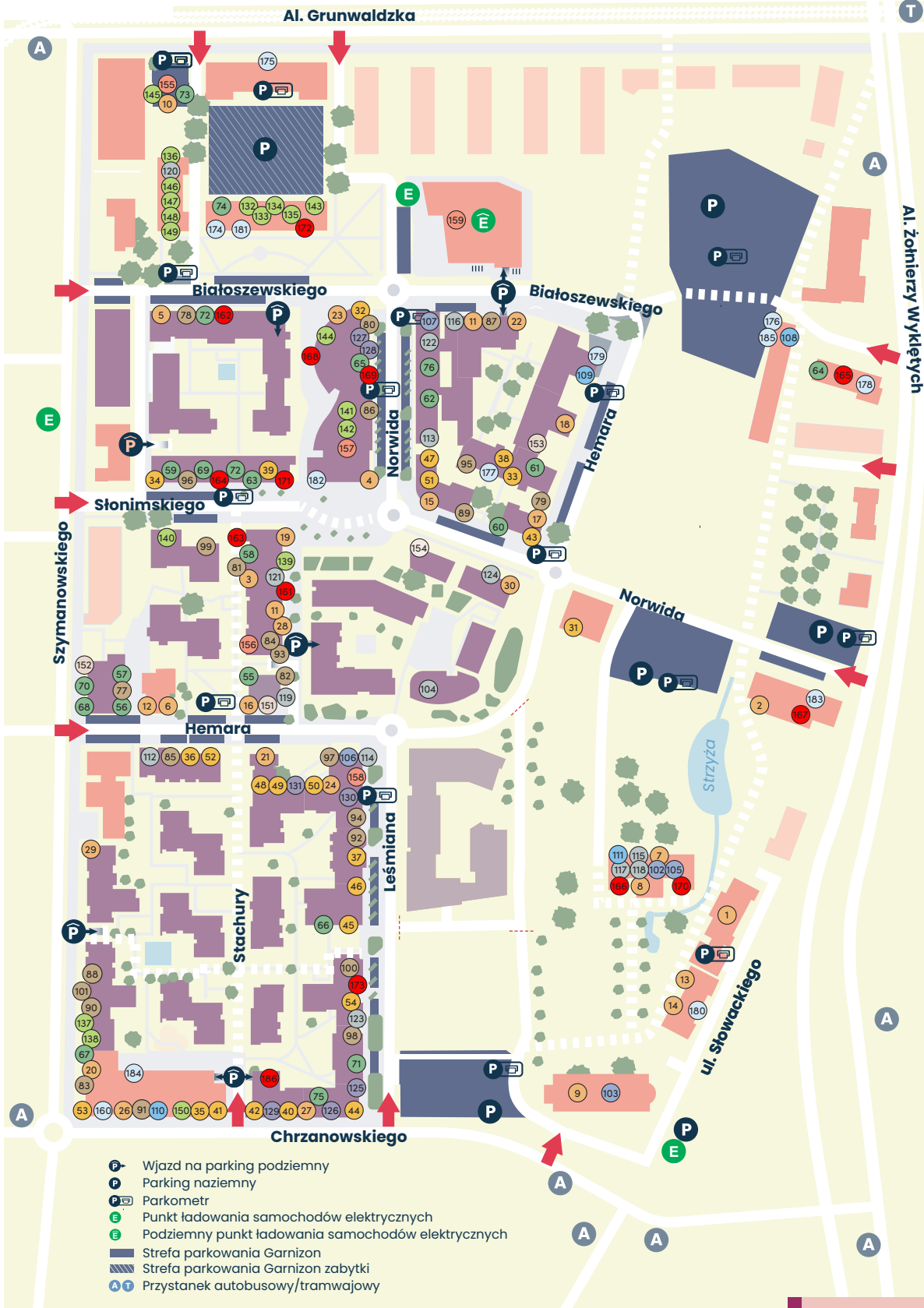


- 156 PREMIUM APARTMENTS
- biuro nieruchomości
ul. Słonimskiego 6/13
- 157 HOME ASSET
- biuro nieruchomości
ul. Norwida 4
- 158 METROHOUSE
- biuro nieruchomości
ul. Leśmiana 11/U9
- 159 DZIAŁ KOMERCJALIZACJI HOSSA.BIZ
ul. Norwida 1

INNE

- 160 FINE SPOT
- spotkania, eventy, degustacje
ul. Chrzanowskiego 11
- 161 BIELINEK
- pralnia ekologiczna
ul. Słonimskiego 6/5
- 162 TARAS FACTORY
- tarasy, elewacje, meble ogrodowe
ul. Słonimskiego 5
- 163 SZALONY.PL
- dekoracje, prezenty, gry
ul. Słonimskiego 6
- 164 TRAVELPLANET.PL
- biuro podróży
ul. Słonimskiego 1/67
- 165 SMART HOTEL
ul. Słowackiego 3
- 166 KAMPUS
- usługi noclegowe
ul. Słowackiego 19
- 167 ul. Słowackiego 13
- 168 AVIS - wypożyczalnia samochodów
ul. Norwida 2
- 169 ADI GLOBAL
- systemy bezpieczeństwa
ul. Norwida 4
- 170 LUKAS FILM
- produkcja filmów reklamowych i sesji zdjęciowych
ul. Słowackiego 19/8
- 171 ZOOLAND
- sklep zoologiczny
ul. Słonimskiego 1/71
- 172 STRAŻ MIEJSKA
al. Grunwaldzka 186
- 173 TOP HI-FI VIDEO DESIGN
- sprzęt audio-video
ul. Leśmiana 5
- 174 LIGHTBOX
- zdrowa dieta z dostawą
al. Grunwaldzka 186
- 175 MENTAL ARTS
- szkoła niepubliczna
al. Grunwaldzka 184
- 176 PACZKOMAT INPOST
ul. Słowackiego 7
- BANKOMAT EURONET
ul. Norwida 15
- 178 ul. Słowackiego 3
- 179 WSZYSTKIEGO SŁODKIEGO
Content & Event Studio
ul. Hemara 23/U4
- 180 PRZEDSZKOLE NIEPUBLICZNE ARTISTIC
ul. Słowackiego 21
- 181 AKADEMIA DOBREJ EDUKACJI
- szkoła podstawowa, liceum, technikum
al. Grunwaldzka 186
- 182 PRZEDSZKOLE ŻYRAFA
ul. Norwida 4
- 183 ul. Słowackiego 13
- 184 ŻŁOBEK A-KUKU
ul. Chrzanowskiego 11/U7

- 185 PACZKOMAT DPD
ul. Słowackiego 7
- 186 CARWASH DELUX
- detailing, myjnia samochodowa
ul. Chrzanowskiego 9
(parking podziemny F)



- Wjazd na parking podziemny
- Parking naziemny
- Parkometr
- Punkt ładowania samochodów elektrycznych
- Podziemny punkt ładowania samochodów elektrycznych
- Strefa parkowania Garnizon
- Strefa parkowania Garnizon zabytki
- Przystanek autobusowy/tramwajowy

hossa.gda.pl

GARNIZON



MIASTO
dobrze
nastrojone